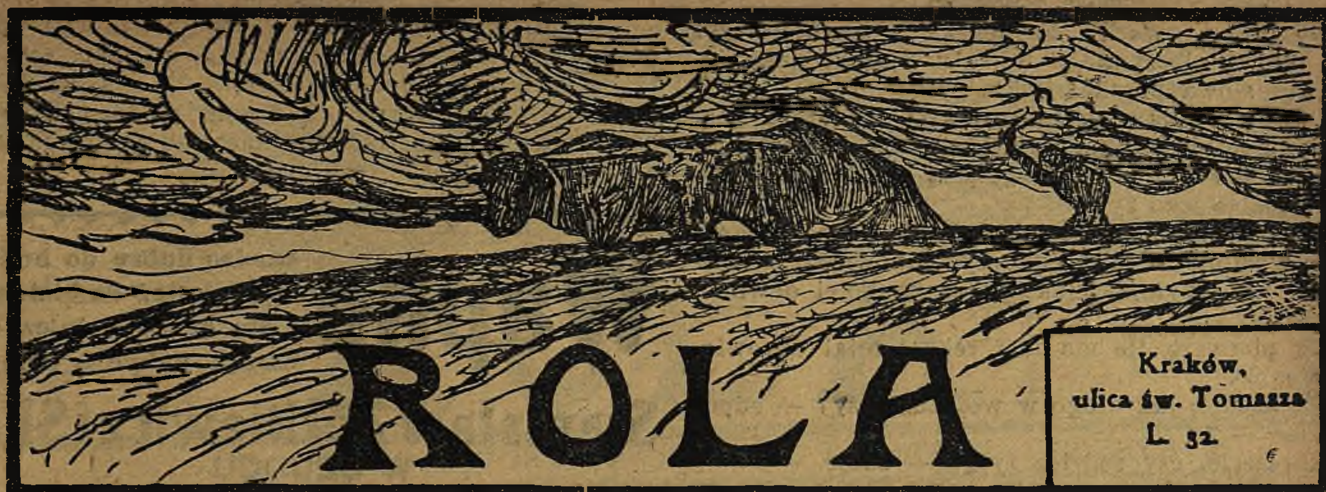


ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Cesarz i Ślązak.

Do pułku gwardji Fryderyka zaciągnięty był jako rekrut olbrzymiego wzrostu Ślązak, nieumiejący ani słowa po niemiecku.

Dowódca pułku wiedział, że król lubi często rozmawiać poufale z żołnierzami, zapytując ich zwykle:

— Ile ma lat? — jak długo przy wojsku służy? — i czy rodzice jego żyją?

Spodziewając się, że taki wielki drągal królowi w oko wpadnie, kazał go nauczyć odpowiedzi po niemiecku na zapytania, jak wyżej, po kolei dawano, to jest:

Na pierwsze, ile ma lat? rekrut miał odpowiedzieć — 26.

Na drugie, jak długo w wojsku służy? — odpowiedzieć — 2.

Nareszcie, czy rodzice żyją? — oboje.

Istotnie król, spostrzegłszy olbrzymiego rekruta stanął przed nim, lecz zmieniając zwykłą kolej, zapytał:

— Ile lat w wojsku służysz?

— Dwadzieścia sześć.

— Ile masz lat?

— Dwa.

— Alboś ty głupi, albo ja — rzekł król rozgniewany odpowiedziami.

— Obydwoje — dokończył rekrut.



Pojętny rekrut.

Porucznik uczył rekruta, że przed wejściem do koszar należy rzucić papierosa. Posłany raz przez porucznika po papierosy rekrut wraca i ze spokojem najgłębszym siada na swojem miejscu.

— A gdzież papierosy?

— Wedle rozkazu, panie poruczniku, rzuciłem przed drzwiami.



Dla równowagi.

Dama: Panie leśniczy, niech pan powie, dlaczego psy myśliwskie podczas biegu zazwyczaj wywieszają język?

Leśniczy: To dlatego, proszę pani, że chcą zachować równowagę ze zwisającym ogonem.



Małżeństwo.

— Jesteśmy już rok po ślubie, a nie spieraliśmy się jeszcze ani razu. Jeżeli zaznaczy się jakakolwiek różnica zdań i ja mam słuszność, Stach zaraz ustępuje.

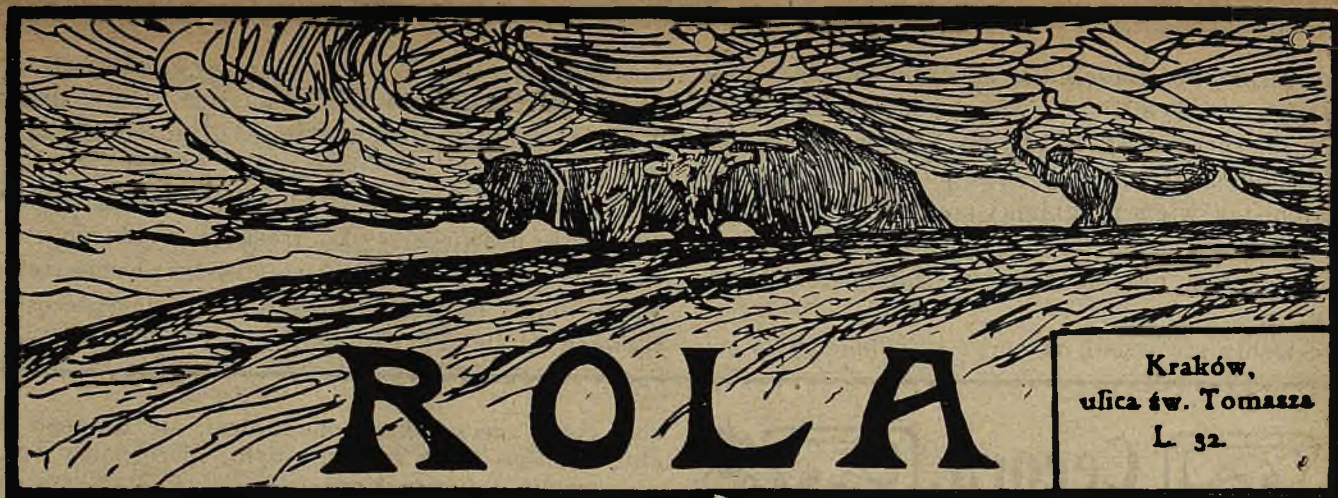
— A jeżeli Stach ma słuszność?

— To się nigdy nie zdarza.

Wymagania.

Dziad (do kolegi): Daje mi jedna paniusia dwa grosze i mówi: Pomódlcie się, mój dziadku, żebym też po śmierci do nieba się dostała. To ona, jak chce tramwajem na dworzec się dostać, to musi 25 groszy zapłacić, a do Królestwa niebieskiego chciałaby się dostać za marne dwa grosze.

Numer 28. Rok XIV. Kraków, dnia 12 Lipca 1931.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« Kraków, ulica św. Tomasza 32.
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Cel życia naszego.



Żyjemy w czasach coraz to bardziej wzrastającego materjalizmu. Myśli nasze, zajęte różnemi zabiegami doczesnemi, zaprzątnęły nam do tego stopnia głowy, że nie znajdujemy chwili do zastanowienia się nad właściwem celem życia naszego. Zastanówmy się więc krótko nad tem, czem jest ten człowiek i jaki jest jego cel ostateczny.

Najpierw rozważ szanowny Czytelniku, czy jest to możliwem, żeby Pan Bóg miał człowieka stworzyć jedynie na to, aby tylko temu światu służył, to jest, aby rozkoszował, żył w dostatkach, lub też przeciwnie, aby grzebiąc w tej ziemi, biedził się i kłopotał z tem życiem, krótko mówiąc, aby był niewolnikiem tego świata? O, gdyby tak było, wtenczas zwierzęta byłyby o wiele szczęśliwsze od nas, ponieważ mając mniej potrzeb, łatwiej je zaspakajają i są zawsze zadowolone.

A przecież się to z rozumem nie zgadza, aby człowiek miał być bardziej upośledzony od zwierzęcia. Już sama powierzchowność człowieka wskazuje nam jego wyższość między stworzeniami, żyjącemi na tej ziemi. Podczas gdy wszystkie zwierzęta, pochylone ku ziemi na nią tylko patrzeć mogą, to człowiek trzyma się prosto, oczyma patrzącemi na całą naturę, która jest stworzona dla niego, patrząc równocześnie i w niebo, dokąd ma znowu powrócić. Lecz nietylko powierzchowność i postawa człowieka przemawia za tem, że człowiek jest panem i jakgdyby królem tego świata, lecz także i w oczach naszej katolickiej wiary, jest on stworzeniem czcigodnem. Ciało oczyszczone wodą chrztu świętego, jest jakgdyby żyjącym przybytkiem Ducha świętego tu na tej ziemi. A cóż dopiero mówić o duszy nieśmiertelnej, której inne stworzenia nie mają?

Kochany Czytelniku, przypuszczam, że nie należysz do tych, którzy mówią, że wraz ze śmiercią człowieka już wszystko skończone. A jeżeliś przypadkowo miał kiedykolwiek jakie powątpiewania, to zastanów się jeszcze dzisiaj i pomyśl, czy to jest możliwem, aby człowiek, ten pan tego świata, obdarzony nieocenionym darem Ducha świętego, to jest rozumem, zapomocą którego przez swoje różne wynalazki, szczególnie w ostatnich czasach, wprost cuda działa, by ten człowiek, na równi z tem bezrozumnem zwierzęciem miał po śmierci zginąć bez śladu? Przyznać chyba sam musisz, że to jest niemożliwem.

Bóg stworzył ludzi, aby go znali, czcili, kochali, Jemu służyli, a po śmierci, aby zbawionymi byli. Oby tych kilka słów, które już w dziecięcych latach wymawiać się uczyliśmy, rozważył każdy człowiek!

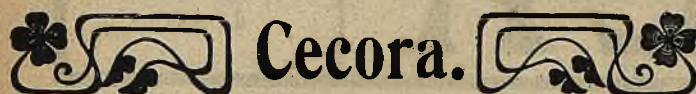
Niestety większość ludzi obecnych czasów, zapomniawszy o celu swej ziemskiej podróży, zda się żyć na tym świecie jedynie na to, aby zażywać wszelkich uciech i rozkoszy światowych, aby wzbijać się w honory i znaczenie u ludzi, aby stać się majętnym, nie bacząc często na własne sumienie i miłosierdzie względem swego bliźniego i t. d. A jakże często zapomina się o duszy nieśmiertelnej, która nieraz opuszczona i z głodu duchowego usychająca, coraz to więcej martwieje tak względem Boga jak i względem swych bliźnich.

Wśród ludzi naszych czasów słyszeć można często, że kto jest bogaty, ten także jest i szczęśliwy. Jednakowoż zdanie to nie jest prawdziwe, albowiem doświadczenie uczy, że nie ten jest szczęśliwym, który jest bogaty, lecz przeciwnie, bogatym można nazwać tego, kto się czuje szczęśliwym. Że tak jest, to i sam Czytelnik przyznać musi.

Wiemy z doświadczenia, że człowiek jest wiecznie nienasyconym i czem więcej posiada, tem także więcej ma potrzeb, a każda potrzeba rodzi znowu inne pragnienia i potrzeby i tak jest bez końca. Mając zatem tak wiele pragnień i potrzeb, tem trudniej znaleźć zadowolenie w tem życiu, a szczęśliwym nie można przecież nazwać tego, kto nie jest zadowolonym.

Jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo samego Boga, abyśmy poznawszy Jego Majestat i to, że On jest Stwórcą i Ojcem naszym, Jemu służyli, a po tej krótkiej służbie ziemskiej, posiadali Go na wieki w niebie.

Niechaj zatem każdy, który dotychczas całe życie swoje poświęcał tylko troskom i zabiegom doczesnym, a o zbawienie swej duszy nieśmiertelnej bardzo mało, lub też wcale się nie troszczył, częściej rozważa te słowa! *Nadwiślanin z Cieszyńskiego.*



Cecora.

Powieść historyczna. (Ciąg dalszy)

— Głupi Kantemir! — mruknął. — Na wywiady nie posłał, zawiadomiony snać przez Skinder-baszę o pokoju zawartym. Myślał, że Żółkiewski odejdzie, pozwoliwszy mu łup z ziemi ruskiej zabrać. Patrzcie waszmoście, jak to się ognie palą szeroko, szeroko i drogę nam wskazują. Nie będziem czekali świtu, a niespodziankę Krwawemu Mieczowi zrobim.

— Tak, tak, tak! — ozwał się Plichta.

— Skocz waćpan do swoich... Stój! — zawołał nagle. — Widzisz?

Za polskim obozem ukazała się krwawa łuna pożaru.

— Są i za nami! — rzekł Plichta.

— Nie wiedząc o nas — dodał pan Stefan.

Plichta i Kopyciński wpatrzyli się w Chmieleckiego.

— Gdyby nas chcieli otoczyć, nie tak ogniścieby szli. To jakiś oddział, który zmarudził i do głównego kosza powraca. Waćpan, mości Plichta ze swoją jazdą pobawisz się z nimi, a ja z Łupiskórą na główną siłę Kantemira rzucę się.

Panu rotmistrzowi markotno nieco się zrobiło, że omijała go sposobność spotkania się raz jeszcze z Mieczem Krwawym.

— Służba! — rzekł, a żegnając się z Kopycińskim, dodał:

— Nadaje się waćpanu po raz drugi okazja zajrzenia w ślepie Kantemirowi. Przypatrzże mu się dobrze, a gdy zręczność po temu się nadarzy, pokłoń się mu odemnie.

Chmielecki rozwinąć się kazał szeregom, zacisnąć munsztuki koniom, by rżeć nie mogły i w ciszy nocnej posuwał się ku ogniskom tatarskim. Plichta wstecz się cofnął ku onej łunie pożarowej, rozszerzającej się z szybkością ogromną.

Gił-Guła nie odstępował pana Konstantego, jechał tuż przy nim i trząsł się na kulbace, pomrukując jakiś pacierz tatarski.

Noc i olbrzymie trawy stepowe osłaniały cicho postępujący oddział. Coraz bliżej byli miejsca pożaru, widać już było ruiny chat, sterczące boleśnie kominy siedzib ludzkich, przewalające się kłęby dymu, potworny taniec ognia. Rzecz jedna tylko zdziwiła Plichtę: nie widział postaci nogajców uwijających się na onem tle ognistem, nie słyszał okrzyków dzikich, jakimi tłuszcza tatarska zwykła święcić dzieło zniszczenia. Paliło się sioło jakieś w stepie, opuszczone, samotne, wśród którego zwalisk żadnej postaci ludzkiej dostrzec nie można było. Wysłane zwiady nie co innego przyniosły: nie dojrzano żywej duszy — nie podsycany ani gaszony ogień palił się siłą własną, przerzucał się z dachów na dachy, coraz szerszy krąg obejmował, ale żadnego ruchu, żadnego życia znać nie było: ni rozpaczy ofiar, ni okrzyku triumfu napastników. Pusta, samotna wieś jakaś oddana została ogniowi na pożarcie; lecz kto podłożył ogień i gdzie się sprawca czynu ukrył — na to pytanie ciemność nocna ni pustka wsi odpowiedzi dać nie mogły.

Plichta zmarszył się.

— Do kata! — rzekł. — Tu mi się Kantemir widzi. Piorunu nie było, wypadku trudno przypuszczać; wypadek zresztą, czy piorun nie wyludniłby tak wsi po tatarsku. Hm!... — dodał po chwili — tam czerń hula i słychać jęki ludu w jassyr pędzonego, a tu na tyłach naszych płonąca wieś — pusta!...

Umilkł, jakby coś w myśli swojej układał.

— Chmielecki się pomylił — odezwał się znów do pana Jana Żmurły, który z poruczonym sobie podjazdem powrócił — pomylił się, mniemając, że Krwawy Miecz nic o nas nie wie. Z za traw nas dojrzał, lub wiatr mu przyniósł zapach potu końskiego. Stary to gracz, nie jego to w pole wyprowadzać!

— Więc wasza miłość sądzi?... — spytał Żmurło.

— Przewidział, przeczuł, nie wiem jak, ale tak jest, jako mówię. Płonąca wieś ona, do której dojeżdżamy, nie od dziś stała już pustką; dlaczego jej nie spalił przedtem, domyśleć się nie mogę, lecz kto wie czy oszczędzenie jej nie leżało w planach przebiegłego murzy. Ja kombinuję tak: Obłowił się zanadto ludźmi i ich dobytkiem, ostawił gdzieniegdzie wsi puste, by w razie pościgu miał co palić i oszukiwać pogoń tym sposobem. Tak się i teraz stało... Może zapóźno się opatrzył, rozłożył taborem, aż tu nas dojrza. Wysłał więc kilku Tatarów do podpalenia za plecyma naszemi wsi pustej. Któżby nie sądził, że przed sobą i za sobą ma nieprzyjaciela? Tak myślał i Chmielecki i rozdzielił. O to właśnie chodziło murzy. Ja do pustego pogorzeliska się podkradam, a on tam...

X.

Do pokoju Admy, do onego pokoju, w którym przed dwoma miesiącami piękna Ormianka żegnała Kostka na bój wychodzącego, wszedł Ibraim Mitras, wesoły, uśmiechnięty, zacierający ręce z radości.

Po dwumiesięcznym zastoju z powodu wojny, handel się ożywił; do Żółkwi hetman, do siedzib swoich brać szlachecka wróciła, przypomniano więc sobie o Ibraimie i z różnemi potrzebami zwrócono się do niego. Przez dzień cały Mitras zwijał się jak mucha w ukropie, kilkunastu pomocników nie mogło nastarczyć potrzebującym, łokcie śmigały po altembasach, tonęły w aksamitów puchach, przed oczyma kupujących przesuwały się tkaniny różne, męskie i niewieście postaci od stołu do stołu przechodziły, gwar panował i zamęt, ale do szuflad złoto

się sypało, zwiększając co godzina wiano pięknej Admy.

Zmierzch zapadł, ciężkie rygle zawaliły drzwi sklepowe; Mitras wziął się do obrachunku, i zacierał ręce z radości — dawno tak szczęśliwego dnia nie miał.

Adme nie była sama, pan Symforjan Jasinowski znajdował się przy niej.

— A, a, a! — śmiał się Mitras — znowu przy dziewce mojej — znowu? To coś jest!... Dawniej waćpan rzadszym gościem bywałeś u mnie?...

— Bo z Jagodyniec dalej, niż z Żółkwi, było do was.

— To prawda, prawda! I długo waćpan u Żółkiewskich jeszcze zabawisz?

— Chciałbym już na swoje śmiecie się udać, ale hetman nie puszcza.

— Po trudach wojny w gronie swoich chce być jak najdłużej — dodał Mitras. — Uf! doskonały dzisiaj dzień miałem. Napociłem się jak mysz, ale kapnęło sporo — a i od was, panie Jasinowski, parę setek dukatów przybyło. Uf! doskonały był dzień!...

Odetchnął głęboko i dym z nargili pociągnął, otaczając się obłokiem wonnym.

Jasinowski rzadkim dawniej gościem u Mitrasów bywał; jeżeli przyjeżdżał, to po to tylko, by pieniądze wzięte z gospodarstwa jagodynieckiego na procent złożyć, co załatwiwszy, wyjeżdżał natychmiast, czasami nawet bez widzenia się z Admą. Od dnia jednak spotkania się z nią u Swinczańskiej, coraz częściej zaczął nawiedzać dom Ibrahima. Przedmiotem rozmowy był Plichta, zaczerpniętych wiadomości o nim udzielali sobie wzajemnie, choć w tym względzie Adme więcej od pana Symforjana wiedziała, bo Gil-Gulła donosił o wszystkiem, a sposób jego pisania wiadomy był Admie jedynie. Z domu więc Mitrasowego pan Symforjan wynosił wiadomości, jakiemi, według wartości ich, dzielił się z mieszkańcami zamku Żółkiewskiego. W listach hetmana pisanych do pani Reginy, żadnej prawie wzmianki o panu rotmistrzu nie było. Jedyny raz tylko hetman wspomniał o nim, gdy pisał o oswobodzeniu Kopycińskiego z rąk Kantemira. Halszka z drżeniem serca słuchała odczytywanego na głos listu, umiłowany jej w coraz większego bohatera urastał, zyskiwał oklask braci i pochwały wodza; przez tę jedną chwilę Halszka zapomniała o ślubowaniu Admie, o boleści targającej sercem i szeptała jak dawniej z wielkiem rozmodleniem się duszy:

— Wracaj — wracaj, a umiłuj!...

Ale marzenie pryskało szybko, w jej pamięci budziły się słowa Jasinowskiego, które od niechcenia niby rzucił po swoim od Swinczańskiej powrocie. Nie uwierzyła im, wierzyć nie chciała; całą potęgą serca i duszy odtrącała myśli natrętne, do czego jej szczerze Marychna pomagała, mówiąc, że ślubowanie podobne, to u kawalerów rzecz zwyczajna, a zresztą, kto wie jak tam było? czy pan Symforjan, Plichcie niechętny, nie przekręcił słów pięknej Ormianki, czy zresztą ślubowania całego nie zmyślił, bo nieprawdę czasami rzec umie i ród męski.

Halszka wdzięczną była Marychnie za te słowa pociechy, a przypomniawszy sobie rzeczywistą niechęć pana Symforjana do Plichty, jaśniejsze przywoływała marzenia, modliła się tylko dłużej i goręcej, zupełnego ukojenia w onej modlitwie szukając.

Ale po tem jedynem wspomnieniu o Plichcie w liście hetmańskim, w następnych, a tak często pisanych, znów żadnej wzmianki o miłym jej nie było, a tymczasem Jasinowski, ilekroć od Mitrasów powracał, przywoził zawsze wieści o panu rotmistrzu, gdzie był, co porabiał, jakie wypadki w obozie polskim zaszły; zanim nawet otrzymano list hetmana o spaleniu Berszady, oddaniu Chocimia, śmierci Iwoni — już pan Symforjan o tem wszystkiem wiedział, a wiedział od Admy, która mówiła o listach z obozu otrzymywanych.

Kto do niej mógł pisać?...

Halszce serce pękało, ale tylko jedną, jedyną znajdowała odpowiedź:

— Widzisz! — szeptała do Marychny, łzy tłumiąc.

A Marychna odpowiadała:

— Bajki wierutne — takiego pokoju hetman nie podpisze.

Czekano listu od Żółkiewskiego — i list przyszedł:

‚Berszada spalona, Chocim oddany, Iwonia śmierć poniósł...“

— Widzisz! — powtarzała Halszka. — O mnie nie wspomni, pokłonu nie przyszle, a — tam...

Marychna zaciskała pięście z gniewu, jak mogła, broniła nieznajomego sobie rotmistrza, ale widząc, że wszelkie dowodzenia jej na marne idą:

— Znajdź Koniecpolskiego! — zawołała.

Tymczasem hetman wrócił, poprzedzony burzą głosów szlacheckich, niezadowolonych z rezultatu wyprawy wojennej.

— Pokój? — spytała pani Regina, przypadając do piersi mężowskiej.

— Nie dla mnie, lecz dla rzeczypospolitej — odpowiedział hetman..

Hetmanowa wiedziała, że dobro rzeczypospolitej tylko było jedyną troską jej męża i pana.

Posypały się pytania i odpowiedzi, jako to zwykle bywa w chwilach podobnych. Kasieńka o swojego, Zofka o swojego pytała, jedna Halszka tylko usunęła się w cień, blada jak cień i tuliła się do Marychny, tłumiąc zbierający się płacz w piersi. Zmrok zapadł, nie dostrzegł więc nikt bladości jej ni łez.

Nagle hetman zwrócił się do niej:

— Halszka! — odezwał się.

— Jestem, panie wuju — szepnęła.

Przeczucie mówiło jej, że rzecz będzie o panu Konstantym, przywołała więc przytomność umysłu i spokój.

— Wszyscy zapytują mnie, każdy na myśli ma kogoś — a ty?

— Nikogo nie mam, panie wuju — odpowiedziała.

— Bardzo dobrze! — wyrwał się Jasinowski.

— Nie twojać to rzecz, mości panie! ja z nią pomówię — hetman na to. — Nikogo?... prawisz?... — znów spytał.

— Tak, panie wuju...

— Hm! — mruknął hetman. — A ja myślałem, że i waćpanna niejeden tam paciorek za kogoś zmówiła.

— Za wszystkich, panie wuju...

— Bardzo dobrze! — wtrącił znów Jasinowski.

— A tam ktoś o waćpannie myślał.

Pan Symforjan się poruszył.

— Opowiedzno nam wasza miłość lepiej...

— Stój wasze — przerwał hetman. — Ja wiem sam, co jest lepiej. — Ktoś myślał... — powtórzył, do Halszki zwracając się.

— Myślał?... o mnie?... — spytała jak senna.

— A ktoby to mógł być — przypomnij waćpanna.

— Niech wasza miłość lepiej...

— Cicho, Symforciu — później rozmawiać ze mną będziesz... No, przypomnij!... Jagodyńce... odwiedzenie obozu...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ratunek.

I.

Starej karczmy Abramka, która stała u zbiegu Woli, Łączek i Glinika, nikt nie nazywał „wyszynkiem napojów alkoholowych“, jak tego żądał napis, jeno poprostu karczmą. Odkąd ludzie zapamiętali, stała ona karczma przy gościńcu i wabiła gości w swe wnętrze szeroko rozwartą bramą. Cieszyła się ona poważaniem i szacunkiem okolicznej ludności, gdyż zasługi jej niemałe: wychowała bo i — rzec można — pochowała niejedno pokolenie pijaków...

Goście jej dzielili się na stałych, przygodnych i... zadomowionych.

Michał Jamróg z Łączek nie należał jeszcze do „zadomowionych“ gości starej karczmy, lecz nie można tego powiedzieć o jego kompanach, z którymi gra teraz w „zechcyka“: Józku Droździc z Woli i Pietrku Greli z Glinika.

Siedzą sobie wszyscy trzej w osobnej izdebce ciasnej, brudnej i smrodliwej, lecz jakże przytulnej i miłej wobec zimna i szarugi nocy zimowej!... Siedzą, popijają i grają w „zechcyka“.

Michałowi się dziś „nie szczęści“, nic mu karta „nie idzie“. Lecz on na to nie zważa, czeka na „odegranie się“ i... ciągle przegrywa. Jednak uparł się i gdy go Józek zapytał: „Co obierasz“ — odparł: „Żołądź“. „Co?!... To do mnie przyszła i do ciebie przyszła?... Ciekawym, kto wygra?“ „Ty się ta o mnie nie troszcz!“

— Czterdzieści — mówi Michał i rzuca kartę na stół.

— Pewnie tylko tyle będzie miał! Łup go asem!

— Podejdź-no, Pietrek, a mądrze!

— Nie bój się, Józek, my mu tu damy po kulach!...

I Michał dostał „po kulach“. Dostał jeszcze kilka razy, lecz wkońcu wyczerpała się jego cierpliwość. Nie doczekawszy się „szczęścia“, pożegnał towarzyszy i wybrał się w powrotną drogę.

II.

Zaraz na wstępie potknął się o próg i rymnął jak długi na ziemię.

— Psiakrew!...

Wstał z trudem, otrzepał się i chwiejnym krokiem powlókł się do domu.

Droga prowadziła początkowo przez wieś, a dopiero koło Franka Mularza musiał Michał skręcić na prawo, przejść przez mały potoczek i czystem polem dojść do tej kamiennej figury, co to powiadają, że koło niej straszy. Michał się tego nie bał i w żadne strachy nie wierzył, to też na kamienną figurę, jak zresztą na żadną inną uwagi nie zwracał. Od kamiennej figury miał wykręcić na lewo, obejść nieduży lasek i ścieżyną polną mógł dojść do własnego domu.

Żadnaby to była dla niego trudność, gdyby nie to, że coś zadużo wypił. W głowie mu szumiało, na oczy mało widział, lecz jak mógł, tak się pchał naprzód. Klął tylko w duszy starych rodziców za to, że wybudowali się na drugim końcu wsi, zdala od karczmy.

Noc była wietrzna i pochmurna.

Po niebie przewalały się zwały obłoków, pędzonych wiatrem. Od czasu do czasu z za rąbka chmury wyzierał szyderczo uśmiechnięty księżyc i ciekawie przyglądał się Michałowi, który dziwne wykonywał zwroty i dziwne zataczał półkola...

Księżyc śmiał się z niezrozumiałej — jak sądził — zabawy człowieka.

III.

Michał przeszedł już więcej niż ćwierć drogi, kiedy zaczął padać śnieg. Z początku wielkiemi, pojedynczemi płatami, później zdrobniał i zgęstniał. Kiedy Michał wyszedł na czyste pola, szalona zadymka rozpanoszyła się naokół. Na dwa kroki nic nie było widać.

Wściekły pęd wichru obalał Michała raz po razu. Niedługo, krople potu, zmieszane z topniejącemi płatami śniegu, jęły mu spływać po twarzy. Nie poradzi, trzeba spocząć — pomyślał.

Postawił kołnierz u płaszcza, wsadził ręce w kieszenie i usiadł na wilgotnym śniegu.

Po chwili ruszył dalej, gdyż uczuł dojmujące zimno.

Wiatr wzmógł się jeszcze i, chichocąc szatańsko, zapamiętywał się w szalonym tańcu. Miljony drobnych, białych płatków leciało na ziemię. Droga stawała się coraz cięższa. Michał brodził po kolana w śniegu, lecz szedł ciągle naprzód, bojąc się znaleźć grób pod białym, miękkim puchem.

Ziąb coraz większy przejmował go do szpiku kości. Z gorączkowym pośpiechem przedzierał się przez sypki miał.

Powinienem już być koło kamiennej figury — pomyślał Michał — lecz jakoś jej nie widać.

Możem zbłądził?... Przeszedł go zimny dreszcz.

Tu, w tem pustkowiu nietrudno o śmierć w nielitościwych objęciach mrozu.

Owładnął nim strach.

Przyśpieszył kroku, o ile mu na to zaspy śnieżne pozwoliły i zaczął wypatrywać kamiennej figury.

Przeszedł kawał drogi, lecz figury jak niema, tak niema.

Teraz już był pewny, że zbłądził.

Napełniło go to ogromnym niepokojem. Stanął bezradny, nie wiedząc, w którą się stronę udać. Myśl, że może tu zmarznąć na śmierć, wwierciła się mu w mózg i napawała go drżeniem.

Ruszył naoślep przed siebie.

Po chwili zmienił kierunek w nadziei, że dojdzie do lasu i wypocznie gdzie pod krzakiem. Szedł, borykając się z wiatrem, szedł długo, na las nie natrafił. Zawrócił na prawo. Począł biec, ile mu sił starczyło. Potknął się o coś i upadł twarzą w śnieg... Zerwał się, podbiegł kilka kroków i upadł znowu... Wstał i przystanął... Dyszał ciężko, było mu teraz gorąco.

Krew waliła mu w skroniach... w głowie wirowała myśl: „Zginę...“ Zatrząsł się cały w porywie strachu.

Znowu począł biec tak na chybił trafił, byle zagłuszyć straszną myśl. Biegł, padał, dźwigał się, znowu biegł... i znowu padał... i tak przemierzał własnem ciałem śnieżną pustynię...

— Jezu! — jęknął Michał — Jezu Chryste ratuj!... Ratuj, bo Ty tylko potrafisz!... Chryste!... Znikąd mi pomocy!...

— Chryste, nie daj zginąć!... Chryste!...

Na czworakach prawie wlókł się teraz Michał... Ostatkiem sił wydzierał się śmierci.

Nagle potrącił o coś w ciemności. — Co to?... Toć to krzyż, który stoi nieopodal naszego domu!...

— O, Panie!...

Z głośnym szlochem przypadł Michał do krzyża, który wyciągał w błogosławionym bezruchu swe ramiona i przywarł doń ustami.

— — — — — — — — — — — — — — —

Abramek stracił niepowrotnie jednego z gości.

Rec.

Dawniej a dziś.

Jeżeli porównamy początek wieku XV, a czasy obecne, zobaczymy przy porównaniu tem ogromną różnicę. Choć są i pewne podobieństwa, bo oto i wówczas, jak dziś, pragnął naszej zguby ów Krzyżak, którego nieopatrznie książę Konrad Mazowiecki do Polski sprowadził. Pragnął naszej zguby i robił wszystko, aby Polsce zaszkodzić, aby uszczuplić jej granic, aby sam nad jej ziemiami zapanować. Od początku wieku XV dążył do tego i po dziś dzień w dążeniach swoich nie ustaje.

Ale wówczas u nas było inaczej. Bo oto, gdy umarł Kazimierz Wielki, w spadku po nim objął tron polski król węgierski Ludwik, a po nim urocza i święta młodsza córka jego Jadwiga. Wobec tego mieliśmy w narodzie węgierskim wiernego przyjaciela, który gotów był w każdej chwili stanąć przy naszym boku. Jadwiga jakkolwiek córka Węgra, to przecież po babce swej, a siostrze Kazimierza Wielkiego odziedziczyła krew polską, a przywiązanie i miłość ku tej Polsce wpajała w nią właśnie jej babka, która do samej śmierci nie przestała swej dawnej Ojczyzny miłować.

Młodziutka Jadwiga, wbrew wprawdzie swym uczuciom, ale posłuszna woli panów polskich, poślubiła znacznie starszego od siebie Wielkiego Księcia litewskiego, Jagiełłę, przez co powiększyła przyszły obszar Polski więcej niż dwukrotnie, a pod berłem Jagiellonów złączyły się trzy sąsiednie narody na dolę i niedolę. Od chwili małżeństwa Jadwigi z Jagiełłą, Polacy, Litwini i Rusini, którzy razem z Litwinami byli pod władzą Jagiełły, szli razem przeciw wspólnemu wrogowi, razem go gromili i razem odnosili z tego korzyści.

Pamiętny jest pogrom Krzyżaków pod Grunwaldem w lipcu 1410 roku. Przeciwko całej potędze krzyżackiej, wspomaganej przez licznych rycerzy niemieckich, wyruszył Władysław Jagiełło wraz z swym bratem Witoldem, który prowadził zastępy litewskie i ruskie. Do starcia doszło dnia 15 lipca. Wojska polsko-litewskie odniosły wielkie zwycięstwo, a wojska niemieckie Zakonu krzyżackiego zostały pobite na głowę. Zginął mistrz wielki Zakonu, Ulrych von Jungingen; 52 chorągwi krzyżackich dostało się w ręce Polaków. Zakon nigdy już nie podniósł się z poniesionej klęski, chociaż jej Polacy nie wyzyskali odrazu w zupełności. Zwycięstwo grunwaldzkie położyło na 400 lat tamę posuwaniu się Niemców ku wschodowi.



Królowa Jadwiga w majestacie królewskim.

Widzieli tak Polacy, jak Litwini i Rusini, że zgodne postępowanie tych trzech narodów wszystkim im tylko korzyść przynieść może. To też w Horodle nad Bugiem łączą się rody polskie z litewskimi węzłem miłości braterskiej i wspólnością klejnotów szlacheckich (r. 1413). Król polski nadaje szlachcie ruskiej przywileje szlachty polskiej. I odtąd aż do rozbiorów Polski trzy te narody, związane z sobą na dolę i niedolę, postępują razem, razem się cieszą i razem cierpią, jeżeli cierpieć wypadło.

Inaczej jest dziś. Dziś Litwini są największymi wrogami Polski; raczej wolą zginąć, aniżeli wyciągnąć dłoń bratnią do zgody z Polakami. Trudno być prorokiem, ale tu nie trudno przewidzieć, co w najbliższej przyszłości stać się może. Oto dziś Niemcy, potomkowie dawnych Krzyżaków, udają przyjaźń wobec Litwy, a czynią, co mogą, aby ją wcześniej czy później pod swe panowanie zagarnąć. A Litwa, mając przysłoniony wzrok nienawiścią ku Polsce, nie widzi tego, co się poza jej plecami dzieje. I tak pozostawiona sama sobie, niechybnie zginie w paszczy krzyżackiego potwora. Zamiast połączyć się z Polską do obrony przed odwiecznym wrogiem, ona prowadzi z nami papierową wojnę. Dzieje się tu coś podobnego, jakby walczyła mysz z potężnym lwem.

Nie lepiej jej i z drugimi naszymi przyjaciółmi z czasów Jagiellonów. Rząd austrjacki robił wszystko, co mógł, aby poróżnić dwa bratnie narody. I częściowo mu się to udało. Jeszcze za panowania Austrji Rusini, przybrawszy nazwę Ukraińców, zaczęli przeciw Polakom występować. Niewiele ich było przeciw nam usposobionych, bo ogół zżyty z Polakami i często z nimi połączony związkami małżeńskiemi, nie pragnął walki. Ale i ta mała garść po-

trafiła narobić wiele złego, kopiąc przepaść pomiędzy dziećmi jednej dawnej Ojczyzny. Austrja jeszcze przed samym swym ostatecznym upadkiem 1918 r. potrafiła wywołać powstanie Rusinów przeciw Polsce, które narodowi polskiemu żadnej nie przyniosło korzyści, a przyprawiło obydwie strony o wielkie straty.

Obecnie Austrja sama wiedzie suchotniczy żywot, więc też nie ma sił ani potrzeby do podjudzania Rusinów przeciw Polsce, ale miejsce ich zajęli Prusacy, którzy nie żałują pieniędzy, aby podsycać nienawiść Rusinów ku Polsce. I znowu znalazła się garść Rusinów, która za niemieckie srebrniki chce zaprzedać własny naród w niewolę bolszewicką. Całe szczęście, że ogół Rusinów nie słucha podszeptów niemieckich, lecz rozumie, że tylko w łączności z Polską może uzyskać dla siebie świetlaną przyszłość.



Bitwa pod Grunwaldem.



MACIEK BZDURA GADA:

Z mojom gospodynią to nijak nie mogę przyjść do końca; człekowi kiski grają Salve Regina, zezarłby nawet kobyłę z kopytami i ogonem, a moja umiłowana gosposia padają, co teraz są wagacyje, to się nie powinno jeść. A jak się o zarcie upominam, to mi obiecują obciąć język o pietnaście procent i ślus.

— Widzis Maciek — powiadają — urzędniki zarli trzy razy na dzień, nie wyłącając piątku i co jem z tego przysło. Najjaśniejsy minister chlasnął jem pietnaście procent i myślis, ze jus wszyscy z głodu pozdychali. Kaz tam zaś! Selence się tego jesce dość po świecie i niktórzy śnich jesce raz, abo i dwa razy na dzień jedzą. I jakosik jem to nie skodzi. Fasony ich wyrobiły się do figury, coraz bardziej znikają obmierzłe grubasy, a wszyćko robi się filigranowe, a co filigranowse, to i śwarniejse. A nawet jak zemrze który bez jedzenia, to kraj na tem zyska, bo przecie rząd nikomu po śmierci penksyji nie płaci. Taksamo widzis jest i z robociarzami. Dawniej sed se taki jegomość do fabryki, kopalni, cy inksego interesu i calusieńki dzień harował, nicem plebańska kobyła. A myślis, ze jak przysed wiecór, to se choć krzynę odpocął? Kajsta zaś! Kobita jego, albo sąsiadowa zaraz mu musiała postawić misicę na stole i choć i tak juz spracowany, musiał jesce w chałpie pracować. I na co? Na to obmierzłe brzusysko! Dzisiok ma morowy odpocynek. Jedni z robociarzów choć robią cały tydzień, to zarobią tyle, coby na dzień jako tako la cały rodziny wystarcyć mogło. Ale dzieciska robociarskie okrutecnie są sprzykrzone i codzieńby jeść chciały. Aby wystarcyło, bo musi wystarcyć, macierz podzieli bochenecek chleba na sześć częśći i kazdą część przeznacy na inksy dzień i tak jest jedzenia na cały tydzień. W niedzielę się nie robi, to się i nie je. Sam robociarz ma z tego powodu wygodę, bo spracowany, to i jeść nie potrzebuje. Wystarcy mu wiecorem odpocynek po robocie.

— No to i prawda — powiadam ja do gosposi. — Niechze se tam urzędniki i robotniki radzą, jak mogą, to juz ich interes. Ale ja przecie nie jestem ani jednem, ani drugiem, ani oboma naraz, ale gospodarzkiem parobkiem, a takiemu juz od stworzenia świata jedzenie się nalezy. Na chleb calusieńki dzień pracuje, to mu tego chlebusia braknąć nie powinno.

— Takby się widziało — gosposia na to — ale tak nie jest. Coprawda Poniezus dał gront i gront jest, boć przecie u nas jesce nima bolsewików, którzy i grunta ludziom zabierają. Ale co z tego, ze gront jest, kiedy z tego grontu nima nijakiego prefitu. Harujes ty od świtania do nocy, haruję ja, haruje gospodarz, haruje i Kaśka. Siarcysty pot leje się nam wszyćkiemi dziurkami, ze ani go nima cem casu obcierać, a i tak se z robotą rady dać nie mozewa; trzeba przynająć. Robotnik, choć la niego to zamało, kostuje tyle, ze na siebie nie zarobi. Kajze wziąć na niego pinięndzy. Gospodyni musi przydusać kury, aby jajka niesły, musi pchać w paciuka otręby, aby mu się kiełbasy powiększały, i ciesy się, ze jak to wszyćko sprzeda, to będzie miała cem jako tako dziury załatać. Aliści ledwie uciułała parę złociaków, przychodzi sekwestrzarz z urzędu podatkowego i powiada: „Daj babo, co ino mas najlepsego!" Dałby mu człek wszyćko, co ino ma, byle ino do pinięndzy się nie dobierał, ale jemu właśnie o piniądze chodzi, a nie o co inksego. Zabira, co jest, za jeden podatek, za drugi podatek, za dziesiąty podatek, bo u nas podatków, jak dzieci u hebrajskiego zyda. I tak, Maciuś, tak! Dzisiok i chłop na wsi musi się nieraz obejść smakiem, bo mu na jedzenie nie wystarcy.

Widziało mi się, ze moja gosposia morowo mądrze gadali, choć ni mogłem tego zrozumieć, lacego sami zaraz po tem gadaniu pośli do kumory i upalili se pajdygę chleba i sami ją spucowali, a mnie kazali bez ten cas mieć wagacyje, jak i tego nie mogę zrozumieć, lacego ministry sami mają po kilkanaście stówek miesięcnie i ledwie jem to, jak powiadają, na zycie wystarcy, a lacego takiemu pracownikowi państwowemu kazą zyć z babą i dzieckami za półtorej stówki.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Meksyk II.

W poprzednim numerze „Roli“ zaznaczyliśmy, że w Meksyku niemal każdego roku wybuchają krwawe rewolucje, które niszczą w dotkliwy sposób i tak niebogatą krainę. I aniby nikt nie przypuszczał, że moralną odpowiedzialność za to ponoszą dwa państwa, a mianowicie Anglja i Stany Zjednoczone. Ogień rewolucji, jaki ogarnął Europę przy końcu XVIII wieku, oddziałał również szkodliwie i na wielu mieszkańców drugiej półkuli. W umysłach tamtejszych mieszkańców wrzało, wrzenie to podniecały intrygi Anglji i Stanów Zjednoczonych. Państwa te chciały doprowadzić do zerwania Meksyku z Hiszpanją, aby Hiszpanja nie urosła w zbytnią potęgę. Pierwsze hasło rewolucyjne dało się już słyszeć w roku 1810, ale z łatwością zostało przytłumione. W cztery jednak lata później ruch ten na szerszą rozwinął się skalę, a w roku 1820 przybrał przerażający charakter.



Typy niewiast meksykańskich.

W roku 1821 naczelny wódz rewolucjonistów, generał Iturbide, naśladowca Napoleona I w Ameryce, zasiadł pod imieniem cesarza Augustyna I na tronie meksykańskim, który jednak już w roku 1823 został obalonym. Niestety, wojny napoleońskie, tudzież wewnętrzne rozruchy nie pozwoliły Hiszpanji popierać należycie w Meksyku hiszpańskiego stronnictwa, gdy tymczasem powstańcy otrzymywali ciągle potajemne zasiłki od Anglji i Stanów Zjednoczonych. Tak więc rewolucja i w Meksyku stanowcze odnosła zwycięstwo. Po wojnie z Hiszpanją nastąpiły krwawe wojny domowe i powszechny niedostatek. Za dalekoby to jednak nas zawiodło, gdybyśmy chcieli opisywać obszerniej ten najsmutniejszy okres meksykańskich dziejów. Wystarczy, gdy powiemy, że od 1821 do 1867 roku Meksyk nie mniej, niż trzydzieści sześć razy zmieniał swą formę rządu, oraz, że w przeciągu tego czasu miał aż siedmdziesięciu dwóch dygnitarzy, którzy pod rozmaitemi nazwami: cesarzy, prezydentów, dyktatorów i t. p., naczelną piastowali władzę.



Bawiący się chłopcy na pastwisku.

Jednym z nich był Benito Juarez, który doszedł do godności prezydenta z ubogiego chłopaka indyjskiego w 1861 r. Ten przedewszystkiem rozpoczął zaciętą walkę z Kościołem katolickim. Wydalił on z kraju arcybiskupa meksykańskiego i prawie wszystkich biskupów i kapłanów, świątynie pozamieniał na składy towarów, gdzie na ołtarzach leżały skrzynie i paki, dzwony zaś kościelne walały się po drogach. Inne kościoły poprzemieniano na kawiarnie i tym podobne lokale publiczne. Dopiero interwencja francuska w roku 1862 przyczyniła się do polepszenia, chociaż na krótko, tak opłakanego stanu rzeczy. Rewolucjoniści musieli ulec przewadze francuskiego wojska, stronnictwo zaś konserwatywno-monarchiczne objęło ster rządu i dnia 10 kwietnia 1861 r. ofiarowało meksykańską koronę cesarską arcyksięciu austrjackiemu Maksymiljanowi, któremu Papież Pius IX przesłał błogosławieństwo i życzenia. Wówczas katolicyzm został uznanym znowu za religję państwową, życie zaś religijno-kościelne swobodniej zaczęło się rozwijać. Niestety, Maksymiljan, chociaż z natury dobry i szlachetny, zawiódł pod wielu względami położone w sobie nadzieje. Z obawy radykalnego stronnictwa, utrzymał on w całej sile wiele ustaw wymierzonych przeciwko



Domostwo meksykańskie.

Kościołowi tak dalece, że nawet dobra kościelne pozostały, jak przedtem, w rękach rządu, żadne zaś rozporządzenia papieskie nie mogły być ogłoszone bez upoważnienia ze strony państwa.

Niejasna i chwiejna ta polityka daje się tylko usprawiedliwić nadzwyczajnie trudnem położeniem, w jakiem Maksymiljan się znajdował. Nie przyniosła mu ona jednak szczęścia, nie przechyliła na jego stronę radykalnego stronnictwa, konserwatywne zaś zniechęciła do najwyższego stopnia. Rewolucja, która za czasów Juareza panowała jeszcze w większej części kraju, zdobywała sobie teraz coraz większą przewagę, w chwili zaś wycofania się wojsk francuskich w r. 1867, rozstrzygnęły się losy młodocianego cesarstwa. Dnia 15 maja 1867 roku Mąksymiljan został schwytany, a dnia 19 czerwca rozstrzelano go w Queretaro z rozkazu Juareza. Było to ostatecznem zwycięstwem rewolucji i antikościelnego stronnictwa. Konstytucje z dnia 25 września 1873 roku i z dnia 24 listopada 1874 roku potwierdziły odosobnienie Kościoła od państwa, poczem zniesiono wszystkie wogóle zakony, wprowadzono małżeństwa cywilne, ograniczono ilość świąt, uznano szkoły za bezwyznaniowe, zabroniono wszelkich religijnych obchodów, jak np. pielgrzymek i procesyj poza obrębem kościołów, biskupom i kapłanom kazano przywdziać strój cywilny, kościoły zaś i klasztory poprzemieniano z powrotem na koszary, muzea lub szpitale. Odtąd też datuje się coraz większy upadek Meksyku i niema, jak dotychczas, człowieka, któryby potrafił ująć rządy w silne ręce i kraj doprowadzić do należytego dobrobytu.

Nim przystąpimy do dalszych opisów Meksyku, podajemy dzisiaj kilka obrazków, przedstawiających niejako uzupełnienie do naszych opowiadań.



Typy mężczyzn meksykańskich.

Na pierwszym z nich widzimy dwie kobiety meksykańskie. Pierwsza z nich, idąc zapewne do pracy, umieściła swe maleństwo w jakiejś chuścinie na plecach, aby ten drobny ciężar nie osłabiał jej rąk, któremi tę pracę musi wykonywać. Druga, zdaje się, idzie z targu, gdyż niesie w rękach trzy koguty, których albo na targu nie sprzedała, albo które tam kupiła. Oryginalny kapelusz meksykański chroni jej twarz od wielkiej spiekoty słonecznej.

Drugi obrazek przedstawia meksykańskich chłopców, bawiących się na pastwisku. Gdyby znów nie oryginalne kapelusze, możnaby ich wziąć za naszych wiejskich dzieciuchów.

Na trzecim obrazku widzimy meksykańskie domostwo, coś podobnego, jak nasze, które nie wskazuje wielkiego dostatku u jego właściciela.

Ostatni wreszcie obrazek przedstawia czterech mężczyzn z Meksyku, ustrojonych tak, jakby się wybierali na jakąś maskaradę. A tymczasem jest to ich strój codzienny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Na bezludnej wyspie.

Powieść awanturnicza.

— Kochany Godfreyu, ponieważ zawsze marzyłeś o wyspach, przeto sądzę, że nie zrobię ci przykrości, oddając wyspę Finy na wyłączną twą własność. Tak, ofiaruję ci ją z tem, że możesz tu rządzić, jak ci się żywnie podoba. Nie mam też zamiaru gwałtem cię stąd wyrywać. Możesz pozostać na wyspie przez całe życie i w dalszym ciągu być Robinzonem...

— Co? Ja miałbym tu zostać na całe życie? — wykrzyknął Godfrey.

W tej chwili podeszła doń Fina, pytając:

— Godfreyu, czy chcesz pozostać na swej wyspie?

— Raczej umrzeć! — zawołał tonem szczerości, wykluczającej wszelką wątpliwość. Po chwili jednak dodał:

— Tak! Zostanę na mojej wyspie, ale stawiam trzy warunki. Ujął rękę dziewczyny i wyrzekł dobitnie:

1. Ty, ukochana, musisz tu ze mną pozostać.
2. Wuj Wil musi się przenieść na naszą wyspę.
3. Pastor z „Marzenia“ dziś nam jeszcze da ślub.

— Dobrze wiesz, że na okręcie niema pastora! — odparł wuj Wil. — Mam jednak nadzieję, że w San Francisco znajdziemy już duchownego, który nam odda tę drobną przysługę. Zdaje się zatem, że nie postąpię wbrew twym chęciom, jeśli wydam polecenie, by zaraz rano odbić od brzegów.

Wpierw jednak wuj i Fina pragnęli obejrzeć wyspę. Rychło też podążyli wszyscy na przechadzkę, kierując się przedewszystkiem ku strumieniu, wzdłuż grupy drzew-olbrzymów.

Niestety, z mieszkania w wydrążeniu drzewa nie pozostało ani śladu! Pożar zniszczył wszystko doszczętnie! Gdyby więc William W. Kolderup nie był się zjawił w samą porę, to nasi Robinzoni, pozba-

wieni dachu nad głową i sprzętów i naczyń i zapasów żywności, a przedewszystkiem otoczeni gromadami drapieżnych zwierząt, rychło byliby się rozstali z życiem!

— Kochany wuju — ozwał się Godfrey — pozwól sobie powiedzieć, że nietylko wyspie nadałem imię Finy, gdyż to olbrzymie drzewo, które nam przez szereg miesięcy użyczało schronienia, nosiło znów twoje imię.

— Więc utniemy z niego gałązkę i zaszczepimy ją w naszym ogrodzie w San Francisco — odrzekł wuj.

Podczas spaceru po wyspie, parę razy przemknęło w oddali któreś z dzikich zwierząt, nie mając jednak odwagi rzucić się na cały oddział majtków.

Następnie podążyli wszyscy na pokład, a Tartelett zwrócił się do pana Williama W. Kolderup z prośbą, by mu pozwolił zabrać „jego krokodyla", na co się zgodzono. Wszak Tartelett musi również mieć jakąś pamiątkę z okresu swego bohaterstwa.

Wieczorem siedziało całe towarzystwo w dużej kajucie „Marzenia", wspaniałą ucztą święcąc powrót Godfreya z wyspy i jego zaręczyny z Finą.

Nazajutrz, dnia 20 stycznia, „Marzenie" pod komendą kapitana Turcotte odbiło od brzegów. Nie bez pewnego wzruszenia wpatrywał się Godfrey w znikające wybrzeże wyspy, na której przebył pięciomiesięczny okres ciężkich prób, których wspomnienie towarzyszyć mu miało przez całe życie.

Podróż odbywała się szybko. Morze było przecudne. Przy sprzyjającym wietrze nie trzeba było nawet rozpinać żagli. A tym razem Turcotte zmierzał prosto do celu, nie będąc zmuszonym do nakładania drogi, zmieniania kierunku, celem wystrychnięcia kogoś na dudka. Nie musiał też nocą wracać na to samo miejsce, z którego wypłynął rano, by tak krążyć w kółko, zamiast się posuwać naprzód.

Dnia 23 stycznia, około południa „Marzenie" wjechało Złotą Bramą do Zatoki San Francisco i zarzuciło kotwicę naprzeciw Merchant Street.

I co się wtedy ujawniło?

Z dolnego pokładu okrętu wyszedł człowiek, któremu po raz wtóry udało się odbyć bezpłatną podróż „Marzeniem". Nocą, kiedy statek stał na kotwicy, człowiek ten podpłynął niepostrzeżenie i ukrył się na spodzie okrętu.

— Kto był tym pasażerem?

Nie kto inny, jak nasz znajomy, Chińczyk Seng-Wu.

Teraz przystąpił do Williama W. Kolderup i tonem ugrzecznionym rzekł:

— Najuprzejmiej proszę o wybaczenie. Wsiadając na okręt, sądziłem, że zawiezie mnie do Szanghaju, dokąd pragnąłbym wrócić. Wobec tego, że znów wróciliśmy do San Francisco, opuszczam statek.

Zjawienie Chińczyka wprawiło wszystkich w najwyższe zdumienie. Nikt nie wiedział, co odpowiedzieć intruzowi, patrzącemu na nich z uśmiechem.

— Chyba nie spędziłeś całych sześciu miesięcy na dnie statku? — wykrzyknął nareszcie William W. Kolderup.

— Nie! — odparł Seng-Wu.

— Więc gdzie tkwiłeś przez ten czas?

— Na wyspie.

— Ty? — wykrzyknął z kolei Godfrey.

— Tak! Ja!

— Więc ten dym...?

— To się rozumie. Musiałem przecież palić!

— Czemu nie spróbowałeś się do nas zbliżyć?

— Chińczyk lubi żyć samotnie — odparł Seng-Wu. — Sam sobie wystarcza i nie potrzebuje niczyjego towarzystwa.

Po tych słowach dziwaczny ten człowiek skłonił się przed Williamem W. Kolderup, skoczył na ląd i zniknął.

— Oto materjał na prawdziwego Robinzona! — zawołał wuj Wil. — Przyznasz, że nie jesteś do niego podobny — dodał, zwracając się do Godfreya. — Inna rzecz, że rasa anglo-saska niełatwo przełknie ludzi tego pokroju!

— Oto rozwiązanie jednej zagadki! — wykrzyknął Godfrey. — Dym pochodził z ognisk tego Chińczyka. Ale dzikie zwierzęta...?

— A mój krokodyl? — zagadnął Tartelett. — Mam nadzieję, że otrzymam jakieś wyjaśnienie!

Wuj William W. Kolderup przesunął ręką po czole, jakgdyby chciał odpędzić myśl irytującą. Bo prawdziwie był to powód dostateczny do irytacji, że ktoś odważył się krzyżować jego plany!

— I to się wyjaśni! — rzekł stanowczo. — Wszystko się odsłania temu, kto umie szukać.

W parę dni później odbyło się ogromnie wystawne wesele siostrzeńca i wychowanki Williama W. Kolderupa. Nietrudno się domyśleć, że młoda para była przedmiotem zachwytu i podziwu przyjaciół ogólnie znanego i szanowanego bogacza.

Przy tej sposobności profesor Tartelett prezentował cały swój szyk i wytworność i dobre maniery, a uczeń jego nie przynosił mu wstydu, mimo półrocznego pobytu na odludnej wyspie.

Tartelett wpadł na pewien pomysł. Wobec tego, że ku wielkiej jego rozpaczy, nie można było krokodyla wbić na szpilkę, jak motyla, postanowił go wypchać. Taki okaz, pięknie spreparowany, z rozwartą paszczą, przytwierdzony do sufitu, będzie piękną ozdobą pokoju i świadectwem bohaterstwa zacnego profesora, który dzięki odwadze Karefinota nie został pożarty.

Oddano więc krokodyla do preparatora, który po paru dniach przynpiósł wypchanego potwora do pałacu Kolderup.

Wszyscy z zainteresowaniem oglądali potwora, który właśnie Tarteletta wybrał był sobie na befsztyk.

— Wszak panu wiadomo, panie Kolderup, skąd potwór ten pochodzi? — zwrócił się preparator do pana domu, prezentując mu rachunek.

— Przecież pod pancerzem była etykieta.

— Etykieta? — wykrzyknął Godfrey.

— Proszę, oto jest! — rzekł preparator, wręczając Godfreyowi kawał skóry, na której było wypisane:

Nadawca: Hagenbeck z Hamburga...
Do pana J. R. Taskinar w Stockton
Stany Zjednoczone.

William W. Kolderup, odczytawszy te słowa, wybuchnął hucznym śmiechem.

Teraz zrozumiał... W jednej chwili zrozumiał wszystko!

Jego przeciwnik J. R. Taskinar, nieszczęśliwy współzawodnik o kupno wyspy, przez zemstę sprowadził był od największego dostawcy menażeryj na obu półkulach cały ładunek dzikich zwierząt i gadów jadowitych, które nocą odstawił na wyspę Finy. Niewątpliwie wydał na to spory majątek, lecz udało mu się zrobić swemu znienawidzonemu rywalowi to, co podobno uczynili Anglicy z wyspą Martyniką, zanim ją oddali Francuzom.

W ten sposób wyjaśniła się ostatnia zagadka, związana z pobytem na wyspie Finy.

— Pomysł doskonały! — wykrzyknął William W. Kolderup. — Ja sam nie byłbym wymyślił lepszego. Och, ten stary łotr Taskinar...

— Skoro jednak takie straszne drapieżce żyją na wyspie Spencera — poczęła Fina — to jakże...

— Na wyspie Finy! — poprawił Godfrey.

— Niech będzie na wyspie Finy — z uśmiechem zgodziła się młoda małżonka. — Tak czy owak się będzie nazywać, to jednak mieszkać na niej niepodobna z powodu tych dzikich zwierząt.

— Phi! — zaśmiał się wuj Wil — więc zaczekamy z przesiedleniem się tam do czasu, aż ostatni lew zagryzie ostatniego tygrysa!

— Ale wtedy, najdroższa, nie będziesz się już obawiać spędzić tam ze mną paru tygodni? — zapytał Godfrey.

— Z tobą, kochany, nie obawiałabym się nigdzie! — odparła. — A wobec tego, że nie odbyłeś swej podróży dokoła świata...

— Więc odbędziemy ją teraz razem! — wykrzyknął Godfrey. — A gdyby złe losy zrobiły ze mnie kiedy prawdziwego Robinzona...

— To w takim razie będzie ci towarzyszyć najwierniejsza z Robinzonek!

KONIEC.

Błogosławiony Jan z Dukli.

Wśród Świętych i Błogosławionych, którzy na naszej ziemi urodzili się, pracowali i ją uświęcili, którzy w polskim języku odmawiali swój pacierz codzienny, którzy Polskę zwali Ojczyzną, i ją serdecznie za życia kochali, a po śmierci w niebie stali



Bł. Jan z Dukli błogosławi obrońców Lwowa.

się jej orędownikami, — wybitne miejsce zajmuje bł. Jan z Dukli, Patron Polski, Rusi i Litwy, wielki Cudotwórca, którego grób we Lwowie ściągał niegdyś niezliczone tłumy wiernych, podobnie jak grób św. Antoniego w Padwie.

Imię bł. Jana z Dukli zespoliło się zwłaszcza bardzo ściśle z historją naszą w pamiętnym wieku XVII, gdy dzikie hordy Kozactwa i Tatarstwa „ogniem i mieczem" niszczyły wschodnie rubieże naszej Rzeczypospolitej, a zacięte szeregi Szwedów zalały „potopem" jej ziemie północne i zachodnie. Na 17 lat przed cudowną obroną Częstochowy przed Szwedami (w r. 1655), w cudowny sposób został przed Kozakami i Tatarami ocalony bohaterski gród Lwowa (r. 1648). Jak Częstochowy broniła Najświętsza Panna, Królowa Polski, tak znów Lwowa bronił bł. Jan z Dukli, który w czasie oblężenia unosił się nad miastem w obłokach, z rozłożonemi rękoma. Stało się to zapewne nie bez wyraźnej woli tejże Królowej Polski, Marji, która opiekę nad ziemiami ruskiemi, wchodzącemi w skład naszej Ojczyzny, oddała właśnie bł. Janowi.

To też naród wdzięczny za tę nadzwyczajną opiekę, wdzięczny za mnóstwo innych cudów i łask, prosił ciągle i wyprosił wreszcie u Stolicy Piotrowej, że w r. 1733 policzyła Jana z Dukli do rzędu Błogosławionych, a w r. 1739 zamianowała go Patronem Polski i Litwy, gdyż dotychczas był czczony głównie jako Patron Rusi.

Za 2 niecałe lata (17 stycznia 1933) wypada 200 rocznica, od owego dnia, kiedy Jan z Dukli został policzony w poczet Błogosławionych. Na tę uroczystość powinna się zmartwychwstała nasza Ojczyzna należycie przygotować. Na złożeniu jednak zwyczajnego hołdu jubileuszowego poprzestać nie możemy. Z polskich serc powinna się wznieść do Tronu Bożego gorąca modlitwa o łaskę kanonizacji, t. j. byśmy mogli tego wielkiego naszego Rodaka widzieć policzonego przez nieomylny wyrok Kościoła do rzędu Świętych. Marzyli już o tem nasi ojcowie przed rozbiorami. W Rzymie wszczęto wówczas odpowiednie starania. Klęski jednak, które spadły na cały kraj i zakuły go w półtorawiekową niewolę, wstrzymały rozpoczęty proces kanonizacyjny. Dziś dzięki Bogu sytuacja zmieniła się na lepsze. Możemy znów o tej kanonizacji marzyć, mówić, o nią czynić starania, tembardziej, że Postulatura Generalna Braci Mniejszych (OO. Bernardynów) w Rzymie stale od roku 1762 sprawę tejże kanonizacji ma w swej ewidencji i czeka tylko na podanie potrzebnych cudów, aby je przedłożyć Stolicy Apostolskiej.

Ufać możemy, że bł. Jan wyprosi u Boga owe, nie ulegające żadnej wątpliwości, cuda, wymagane przez Kościół do każdej kanonizacji, jeżeli zobaczy, że w Polsce wszędzie, po miastach, miasteczkach i wioskach, budzi się i rozżywia dawna jego cześć i dawne nabożeństwo.

Właśnie do rozbudzenia tej czci i nabożeństwa ma służyć obszerna, bo 304 stronic licząca, książeczka, która świeżo wyszła z druku p. t. „Bł. Jan z Dukli, Patron Polski, Rusi i Litwy".

Treść tej nowej książeczki jest nadzwyczaj dobrze dobrana, a całość zdobi 15 pięknych ilustracyj.

Ponieważ doświadczenie uczy, że cuda i łaski doznawane za pośrednictwem Świętych wpływają ogromnie na rozbudzenie nabożeństwa i zaufania w sercach ich czcicieli, dlatego w przebogatą treść książeczki wpleciono około 50 przykładów, dawniejszych i nowszych, zaczerpniętych z historji cudów bł. Jana.

Książeczka pisana jest stylem prostym, łatwym, jasnym, a przytem serdecznym. Wieje z niej gorące umiłowanie postaci bł. Jana. Kto weźmie ją do ręki i z treścią się jej zapozna, stać się musi gorącym czcicielem i miłośnikiem wielkiej i świetlanej postaci bł. Jana. Książeczkę tę nabyć powinien każdy Polak, każda Polka, tembardziej, że dochód z jej rozprzedaży przeznaczony jest na fundusz kanonizacyjny bł. Jana. Kto ją nabędzie, temsamem przyczyni się materjalnie do procesu kanonizacyjnego, który, da Pan Bóg, niedługo może się rozpocznie.

Cena 1 egzemplarza brosz. 1.50 zł., oprawionego w płótno, brzeg czerwony (polerowany) 2 zł. 20 gr.

Prócz tej najnowszej książeczki można nabyć broszurkę o błog. Janie z Dukli, obrazy duże i małe błog. Jana z cząstką materji potartej o Jego relikwie, — medaliki i wodę z cudownego źródełka na Puszczy w Dukli, gdzie błog. Jan po ukończeniu Akademji Jagiellońskiej w Krakowie, 3 lata prowadził życie pustelnicze i pokutnicze, gdzie dzisiaj znajduje się piękny z ciosowego kamienia kościółek, — Stacje Drogi Krzyżowej, — Schronisko dla pątników, — Domek dla rekolekcyj zamkniętych i mały domeczek dla Pustelnika.

Powyższe dewocjonalja zamawiać należy: a) Klasztor OO. Bernardynów w Dukli (Małopolska), b) Klasztor OO. Bernardynów we Lwowie (Małopolska), c) Klasztor OO. Bernardynów w Rzeszowie Małopolska.

Uwaga: Wszelkie ofiary na kanonizację błog. Jana z Dukli uprasza się przesyłać pod adresem: Najprzew. Kurja Prowincjalna OO. Bernardynów w Rzeszowie.

Poradnik gospodarczy.

Korzyści z nawozów sztucznych.

Człowiek, ażeby nie podupaść na siłach, aby móc pracować, musi jeść, bo wskutek pracy, ruchu i czynności jego organizmu, ciało jego się zużywa, trzeba mu więc dostarczyć czegoś, coby ten ubytek zrównoważyło. Tę równowagę wytwarzają właśnie spożywane pokarmy. Zaobserwowaliście nieraz, że młody chłopak, czy dziewczyna zjada znacznie więcej pokarmów, aniżeli człowiek dorosły. I nic dziwnego, gdyż młody musi nietylko wyrównać ubytek cząstek swego organizmu, ale musi dostarczyć ich więcej, gdyż są one potrzebne ponadto na wzrost.

Taksamo, jak człowiek, zwierzę, jak każda żyjąca istota, potrzebuje i roślina pożywienia, aby mogła róść i owoc należyty wydawać. Im chcemy mieć większą roślinę i dorodniejszy owoc, tem więcej musimy dać tej roślinie pożywienia. Oczywiście nie będziemy jej karmili łyżeczką, bo ona z łyżeczki jadać nie potrafi, ale pożywienie to trzeba dodać ziemi, z której ona je dla siebie zaczerpnie.

Dbały rolnik o swoją ziemię gromadzi też pilnie nawozy, aby je wiosną czy jesienią wywieźć na pole i zasilić nimi ziemię. Nie zmarnuje ani ździebełka słomy, ani kruszynki odchodów bydlęcych, lecz gromadzi to pilnie i później wywozi jako nawóz. Dobrze czyni, ale czyni zamało: on oddaje tej ziemi tylko część tego, co jej zabrał. Gdyby nawet z plonów swojego pola nie utracił ani ziarenka, ani ździebełka słomy, to przecież i tak tej ziemi nie odda wszystkiego, co jej zabrał. Niejedną cząstkę pożywną zabierze woda, niejedną uniesie wiatr i tak co roku mniej tam na tem polu jest tych cząstek pożywnych, jakie były dawniej. Ubytek z każdym rokiem się powiększa, a na tej roli nie powinno być ubytku, ale przybytek części pożywnych. Należy je więc uzupełnić.

Najlepiejby było zakupić co roku kilkanaście, czy kilkadziesiąt fur nawozu naturalnego i rozrzucić go po własnem polu. Ale takich durnych niema, którzyby nawóz ów sprzedawali. Ale przecież możemy dostać nawozów sztucznych, które nietylko nawozowi naturalnemu dorównują, ale często jeszcze go przewyższają.

Do najlepszych nawozów sztucznych należy tomasyna, która powstaje przy wyrobie stali. Tomasyna wywiera wprost cudowny wpływ na urodzajność ziemi i sam siebie okrada ten gospodarz, który w gospodarstwie swem tomasyny nie stosuje. Tomasyna jeszcze ma przed innymi nawozami i tę zaletę, że nadaje się na wszystkie grunta i działa na nie wprost znakomicie. Ma ona jeszcze i tę zaletę, że może być po polu rozsiewana o każdej porze roku, a nadto, że z równie dobrym skutkiem może być użyta pod każdą roślinę. Jest ona również stosownie do swej dobroci znacznie tańsza, aniżeli inne nawozy sztuczne.

Na jedno tylko trzeba zwrócić baczną uwagę, aby nie kupować tomasyny u drobnych handlarzy i wszelakiego rodzaju pośredników, gdyż zdarza się niejednokrotnie, gdyż puszczają oni z chęci wielkiego zysku w handel tomasynę fałszowaną, w której znajduje się wiele bezzużytecznych składników. Zaopatrywać się trzeba tylko u firm dużych, które dają wszelką gwarancję za dobroć tomasyny i które znajdują się pod stałą kontrolą odpowiednich władz.

Tępienie pchełki.

Uprzykrzonym szkodnikiem w zasiewach na wiosnę jest pchełka. Mamy jej kilka odmian. Najczęściej spotykamy błyszczącą czarno-granatową „jarzynówkę“, lub z podłużną żółtą smugą na każdej okrywie skrzydeł „smużowaną“. Są to niewielkie chrząszczyki, które jak i ich larwy, objadają młode, delikatne liście roślin uprawnych, głównie krzyżowych: rzodkiewki, rzepaku, rzepy, jak również lnu. Zwalczanie tego szkodnika jest wielce utrudnione. Możemy pchełkę odstraszać lub tępić. Ponieważ ulewne deszcze topią pchełkę, więc na małych powierzchniach możemy się jej pozbyć łatwo, podlewając obficie grządki roślin napadniętych przez pchełki. Wyłapywanie zaś odbywa się w ten sposób, że bierze się dużą puszkę od konserw, odrywa z niej przykrycie, przywiązuje do kija i smaruje wewnątrz lepem.

W słonecznym dniu nakrywa się rośliny tą puszką. Przestraszone niespodziewaną ciemnością pchełki skaczą i przylepiają się do dna i boków puszki. Obsypanie liści mokrych od deszczu, lub rosy kurzem (pyłem) z drogi, żużlami Thomasa, sadzami lub popiołem drzewnym (ostrożnie, bo ług z popiołu może uszkodzić rośliny), czyni liście tak niesmacznemi, że pchełki ich unikają i przenoszą się gdzieindziej. Na większe powierzchnie można użyć t. zw. chwytającego przyrządu. Są to duże cienkie deski (mogą być pół-calówki), ale conajmniej 12 cali (30 cm.) szerokie, zbite pod kątem prostym, w kształcie korytka. Umocowane na maleńkich kółkach, albo niesione przez dwóch chłopaków, suną trochę pochyło. Korytko to należy wysmarować jakimś bezwonnym lepem i nieść na wysokości roślin opano-

wanych przez pchełkę. Deska powinna potrząsać rośliny, żeby straszyć pchełki. Przestraszone skaczą na jedną z desek i przylepiają się do lepu. Gdy ich się dużo nałapie, to zeskrobujemy je i topimy w wodzie, lub spasamy drobiem, a deski ponownie smarujemy. Przy umiejętnem obchodzeniu się z takim przyrządem, można nałowić bardzo dużo pchełek.

KRONIKA.

Wstrząsające samobójstwo lekarza poznańskiego. Z Zakopanego donoszą: W ubiegłym tygodniu zdarzył się tu wypadek samobójstwa znanego chirurga poznańskiego Dr. Leona Mieczkowskiego, który ze względu na przebieg i okoliczności towarzyszące śmierci, wywołał wstrząsające wrażenie. Przed tygodniem przybył w celach wypoczynkowych Dr. Mieczkowski do Zakopanego, zamieszkując w jednym z pierwszorzednych pensjonatów. W przeddzień tragicznego dnia, spotkawszy się z dobrymi znajomymi, spędził wieczór w jednym z lokali, poczem w jak najlepszym humorze udał się do domu. Rano spożył o 9 śniadanie u siebie w pokoju. Około godz 10 słyszano z sąsiedniego pokoju dochodzące rzężenie, jednakowoż nie zwrócono na to uwagi, sądząc, że to jest chrapanie. Około godz. 11 pokojówce, wchodzącej do pokoju, przedstawił się wstrząsający widok. Na łóżku w kałuży krwi leżał Dr. Mieczkowski, nie dając już znaku życia. Zawezwany dyrektor szpitala Dr Nawotny, stwierdził już tylko zgon, który nastąpił przed kilkunastoma minutami. Dr. Mieczkowski z fachową znajomością swego zawodu rozciął lancetem pierś, wbijając następnie narzędzie chirurgiczne w serce. Przybyła na miejsce policja, nie natrafiła na żadne ślady, któreby wskazywały na powody samobójstwa. Znaleziono tylko przy zmarłym papiery osobiste, oraz gotówkę w wysokości 3.070 zł. Wedle przypuszczeń znajomych powodem targnięcia się na życie Dr. Mieczkowskiego, mającego już 61 lat, mogło być tylko cierpienie, na które się niejednokrotnie uskarżał po przeprowadzonej przed kilku tygodniami poważnej operacji wewnętrznej.

Ucieczka aresztantów. Z aresztów sądu grodzkiego w Dynowie udało się uciec dwom młodym, ale niemniej niebezpiecznym złodziejom, a to Stanisł. Szalowi (lat 25), ostatnio zamieszkałemu w Rzeszowie, oraz Stanisławowi Lichocie (lat 22) z Harty ad Brzozów. Obaj wymienieni odsiadywali w aresztach sądu dynowskiego karę za zbrodnię kradzieży. Zdołali oni jednak uśpić czujność straży i wydostać się na wolność, z której pomimo pościgu, dotychczas korzystają.

Napad rabunkowy na giełdziarza. Na wracającego z kina w Stanisławowie o godz. 11 w nocy giełdziarza Jakóba Hechta dokonano napadu rabunkowego. Wymieniony, wracając do domu, tuż obok swego mieszkania napadnięty został przez nieznanych narazie osobników, którzy chwycili go za gardło, powalili na ziemię, poczem jeden z nich zatkał mu usta rękoma, a drugi wyciągnął z tylnej kieszeni spodni portmonetkę. Hecht, który w czasie napadu posiadał przy sobie około 700 zł., począł wzywać pomocy, a napastnicy z obawy przed nadejściem pomocy nie zdołali mu pieniędzy zabrać. Zachodzi podejrzenie, że napad ten spowodowali na tle osobistych porachunków inni giełdziarze, gdyż Hecht, jako handlarz walut uprawia interesy na czarnej giełdzie z różnymi osobnikami podejrzanymi. Zaznaczyć należy, że Hecht doniósł o napadzie dopiero po upływie 9 godzin.

Napad bandytów w Borysławiu. Kilku nieznanych narazie bandytów, chcąc dokonać rabunku w sklepie tytoniowym Hermana Süssmana w Borysławiu, zaczęło ostrzeliwać z rewolwerów sklep od podwórza. Zbudzony strzelaniną właściciel sklepu zorjentował się w groźnej sytuacji, porwał za broń i odpowiedział strzałami. Na skutek strzałów napastnicy zbiegli. Jeden z nich ciężko ranny zmarł z upływu krwi na drodze w pobliżu miejsca napadu. Według przypuszczeń władz bezpieczeństwa zabity bandyta jest identyczny z Iwanem Dominem, niebezpiecznym włamywaczem, który przed kilku miesiącami został zwolniony z więzienia, gdzie odsiadywał karę 5-letniego więzienia.

Tajemnicze porwanie. Przed kilku dniami późną nocą powracał z Częstochowy do Wrzosowej jeden z mieszkańców tej wioski. W pobliżu Wrzosowej wieśniak ów dostrzegł mimo ciemności, iż na szosie leży jakaś kobieta bez życia. Przerażony gospodarz pobiegł na posterunek policji, wzywając pomocy. Przybyli funkcjonarjusze stwierdzili, iż nieznajoma leży twarzą do ziemi, ręce ma skrępowane z tyłu sznurem, szyję zaś zaciśniętą cienkim drutem. Obok leżał porzucony kapelusz, torebka skórzana i paczka. Po rozluźnieniu nieszczęśliwej z więzów okazało się, że dawała ona jeszcze słabe oznaki życia. Przewieziono ją natychmiast do ambulatorjum Kasy chorych, gdzie lekarz udzielił jej pierwszej pomocy. W torebce znaleziono akt ślubny na nazwisko Anny Warchlewskiej i Kazimierza Klimczaka, wydany przez urząd parafjalny Bądkowice, kartę zwolnienia ze szpitala w Strzelnie na imię Anny Klimczak oraz zaświadczenie komendy policji (adres komendy zalany atramentem i wskutek tego nieczytelny). Nieprzytomną Klimczakową doprowadzono do takiego stanu, iż mogła, aczkolwiek z trudem, odpowiadać na pewne pytania. Okazało się, iż Anna Klimczak pochodzi z Konina, ostatnio przebywała w Krakowie, skąd odjechała do Częstochowy. Ponieważ Klimczakowa nie miała pieniędzy, przeto część drogi odbywała pieszo, chwilami zaś korzystała z grzeczności jadących na targ gospodarzy. Wieczorem, gdy już zamierzała zajść do którejś z chat Wrzosowej i prosić o nocleg, spotkała na szosie auto, które na jej widok zatrzymało się. Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn, nawiązali oni z Klimczakową rozmowę, a dowiedziawszy się, że idzie do Częstochowy, oświadczyli, że mogą ją zabrać, bo jadą do Piotrkowa. Chociaż podróżna lękała się jakiegoś podejścia ze strony nieznanych sobie mężczyzn, jadnak zdecydowała się jechać. Kiedy odjechano już kawałek drogi od wsi, jeden z owych osobników poczęstował ją papierosem, a gdy Klimczakowa odmówiła, uderzył ją kilkakrotnie w twarz, potem obaj rzucili się na nią i poczęli krępować sznurem. Klimczakowa straciła przytomność i od tej chwili aż do ocucenia jej przez felczera nie zdawała sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje. Energicznie prowadzone śledztwo wykaże niezawodnie bliższe szczegóły tej ciekawej sprawy.

Pasażer w cegle. Na stacji kolejowej w Skarżysku wykryto tajemniczego pasażera na gapę, jadącego do Rosji. Fakt przedstawiał się następująco: Do pociągu pospiesznego towarowego kursującego na odcinku Skarżysko-Łódź Kaliska, doczepiony był wagon, idący do Rosji, załadowany w Niemczech, rzekomo cegłą. Podczas postoju pociągu na stacji i zmiany drużyn konduktorskich, przechodzący konduktor, w zaplombowanym wagonie, naładowanym, jak opiewa kartka na wagonie, cegłą — usłyszał kaszlanie. Zawiadomiono o tem dyżurnego ruchu oraz władzę policyjną, wobec których otworzono wagon. Okazało się, iż połowa wagonu załadowana była cegłą w drugiej zaś połowie wśród stosu żywności i cygar, siedział człowiek, który w ten sposób pragnął dostać się do Rosji. O powyższem zawiadomiono wła-

dze celne i poczyniono dochodzenia celem ustalenia tożsamości tajemniczego pasażera, który narazie zatrzymany został w Skarżysku.

Pożar wsi. We wsi Wola Rogóżna, pow. łódzkiego wybuchł pożar w zagrodzie gospodarza Stępniaka i przerzucił się na sąsiednie zabudowania. Ogółem spłonęło 11 domów, 11 obór, 14 stodół, szopy i chlewy oraz wielka ilość inwentarza żywego i martwego. W czasie akcji ratowniczej 6 strażaków odniosło ciężkie poparzenia. W jednej z płonących chat pozostawione w popłochu 2-letnie dziecko żywcem się spaliło. Szkody wynoszą przeszło 350.000 zł.

Uczenica zabójczynią nauczyciela. Na strzelnicy miejskiej w Łomży 18-letnia uczenica gimnazjum, Ruchla Rotszyldówna, ćwicząc się w strzelaniu z flobertu małokalibrowego, spowodowała wystrzał, trafiając stojącego przy tarczy profesora-instruktora gimnastyki p. Władysława Jemielity w tylnią część czaszki. W stanie beznadziejnym odwieziono go do szpitala, gdzie po 24-godzinnych męczarniach zakończył życie.

Napad na księdza. Zamieszkały w Stawoszewie w pow. jarocińskim Niemann wraz z towarzyszem swym Kulką, zaczaiwszy się opodal miejscowej plebanji, napadł onegdaj wieczorem na wracającego do plebanji ks. proboszcza Niedziałkowskiego i pobił ofiarę swą do nieprzytomności. Ciężko rannego i nieprzytomnego księdza odwieziono do szpitala. Obu zwyrodniałych osobników aresztowano. Tłem napadu było zemsta Niemanna za publiczną naganę, jakiej udzielił mu ksiądz proboszcz Niedziałkowski. Lepiejby była nie czynić źle, toby i kapłan nie był zmuszony stosownie do swego obowiązku udzielać publicznej nagany.

Ślub pod przymusem. Do ks. dziekana w Głębokiem (powiat dziśnieński) zgłosiła się dnia 28 maja 19-letnia Marja Leszkiewiczówna, prawosławna, prosząc w obecności dwóch świadków o zezwolenie na złożenie wyznania wiary katolickiej i o ogłoszenie jej zapowiedzi przedślubnych z pewnym młodzieńcem, katolikiem. Akt przyjęcia Leszkiewiczównej na katolicyzm został wciągnięty do ksiąg parafjalnych, a 31 maja b. r. została ogłoszona pierwsza zapowiedź przyszłego jej małżeństwa z katolikiem. Stryj i opiekun Leszkiewiczównej (jest ona sierotą) nie chciał dopuścić do przejścia jej na katolicyzm. Widząc, że namowy nie odnoszą skutku, jął się innych środków, wchodząc w porozumienie z proboszczem miejscowej parafji prawosławnej w Zaborzu, który nienawistnie patrzał na to, że dziewczyna ze wsi cerkiewnej została katoliczką, zwłaszcza, iż kilka dusz już przedtem utracił na rzecz katolicyzmu. „Gorliwy" pasterz wraz z niemniej gorliwym parafjaninem dołożyli starań, by odzyskać „zbłąkaną" owieczkę. Gdy Maria Leszkiewiczówna bawiła na weselu swej stryjecznej siostry we wsi Zaborze, stryj jej wywołał ją przed dom, gdzie już czekało kilku prawosławnych, którzy siłą poprowadzili dziewczynę do prawosławnego proboszcza. Na plebanji wszystko znalazła przygotowane do ślubu, nawet narzeczonego, Bazylego Dajlidzionka, prawosławnego, którego Leszkiewiczówna znała tylko z widzenia. Stryj-opiekun rozkazał dziewczynie: „Idź do cerkwi, weźmiesz ślub!" Zaskoczona, nie potrafiła się oprzeć stryjowi, wspieranemu przez popa i gromadę prawosławnych. O godz. 2 w nocy duchowny prawosławny pobłogosławił związek małżeński dwojga nie znających się ludzi, którego celem miało być utwierdzenie w wierze „zbłąkanej". Nawpół nieprzytomną oblubienicę natychmiast odwieziono do męża, do wsi Hwozdowa. Atoli już o godzinie 6 rano biedna ofiara podstępu i przemocy zbiegła do swej wsi i schroniła się przy jednej z katolickich rodzin, prosząc o opiekę i pomoc. Oczywiście ślub ten, dokonany pod przymusem, jest nieważny, a władze niezawodnie ukarzą surowo owego popa, który się dopuścił takiego nadużycia.

Panika w kościele. Podczas uroczystości eucharystycznych w Kownie doszło do niewytłómaczonej paniki, w której 50 osób zostało rannych, w tem 11 ciężko. Dwie kobiety w międzyczasie zmarły. Podczas nabożeństwa ktoś nagle zawołał: „Ratujcie się, kościół się wali". W tym samym czasie przelatywał nad kościołem samolot, robiąc hałas, który ludność przyjęła jako walenie się murów. Następnego dnia znów w ten sam sposób wywołana została panika, przyczem obok kościoła przejeżdżała straż ogniowa. Panika ta na szczęście była mniej groźna. Władze wszczęły śledztwo.

Głód w Finlandji. W ubogich połaciach północnej Finlandji w t. zw. Kusano tegoroczny przednowek daje się ostro we znaki. Ludność — jak donoszą gazety fińskie — wypieka chleb, do którego dodawana jest mąka z kory drzewnej. Z powodu braku paszy ludność wybija żywy inwentarz.

Samozwańczy car Mikołaj II. W Rosji, gdzie mają już po uszy bolszewików, krążą pogłoski, jakoby car Mikołaj II nie został zamordowany, ale żyje i czeka chwili, kiedy będzie znów mógł zapanować nad Rosją. Ludność, gnębiona przez bolszewików, czeka z upragnieniem tej chwili, gdyż wolałaby nawet dawne rządy carskie, aniżeli bolszewickie. Oczywiście nadzieje ludności nie ziszczą się, gdyż car już nie żyje i nic z grobu go nie wskrzesi. Powodem tych pogłosek są listy, które jakiś samozwańczy car rozsyła do różnych wybitnych osób, zapowiadając swój rychły powrót. Rzekomy car prosi przytem duchowieństwo, aby nie odprawiało modłów za jego duszę, lecz prosiło o jego zdrowie i powodzenie. Listy te są pisane tak nieudolnie, iż na pierwszy rzut oka na nie widać, że rozpisuje je jakiś prostaczek, który z powodu twardych rządów bolszewickich dostał pewnego rodzaju obłędu. Ale lud wiejski wierzy mu i czeka na niego.

Autobus w płomieniach. Na linji kolejowej Bukareszt Konstanca w Rumunji najechał pociąg pospieszny na autobus. Skutkiem gwałtownego wstrząsu nastąpił wybuch zbiornika benzyny i autobus stanął momentalnie w płomieniach. Pięciu podróżnych poniosło śmierć a 18 ciężkie rany.

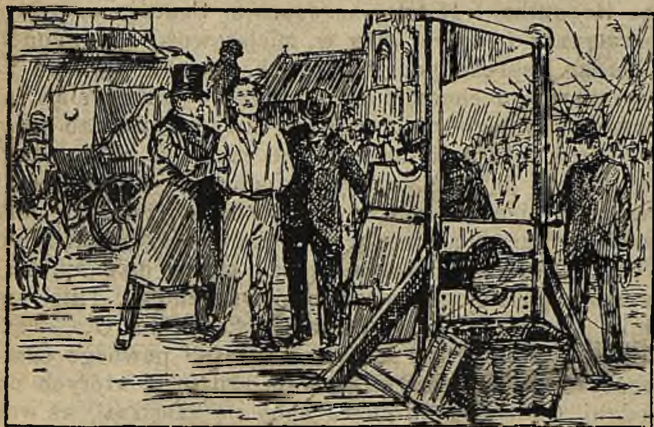
Spoliczkowana hrabina. Gazety austrjackie rozpisują się o ciekawej historji, posiadającej posmak wybitnie skandaliczny, której bohaterami są 70 letnia hrabina Hohenthal i 45-letni ks. Joachim Cantazucene. Arystokratyczna ta para żyła w miejscowości Deggendorf w bardzo naprężonych stosunkach. Podczas spotkań na ulicy nieraz dochodziło do przykrej wymiany słów, aż wreszcie pewnego razu nastąpił incydent bardzo przykry. Oto książę von Cantazucene rzucił się na staruszkę i wymierzył jej tak siarczysty policzek, że biedaczka upadła na ziemię i mocno się potłukła. Ponadto miał gwałtowny arystokrata obrzucić starowinkę stekiem niesłychanych obelg. Hrabina wniosła skargę do sądu, a do rozprawy doszło w miejscowości Deggendorf. Tutaj wyjaśniło się tło owego niezwykłego konfliktu. Oto książę i hrabina, którzy byli sąsiadami, zaczęli pewnego czasu sprzeczać się na temat wyższości rodzin, z których pochodzili. Od słowa do słowa spór się zaostrzał, aż wreszcie antagoniści rozstali się w wielkim gniewie. Odtąd stali się zaciekłymi wrogami i dokuczali sobie na każdym kroku. Wprawdzie książę oświadczył, iż został do swego czynu sprowokowany przez złośliwość hrabiny i wyraził swój żal z powodu nietaktu, który popełnił, nie wiele mu to pomogło, gdyż sąd uznał go winnym i skazał na trzy tygodnie więzienia bez zawieszenia ka-

ry. Książę widocznie z natury jest awanturnikiem, bo usłyszawszy wyrok, zaczął na sąd miotać niesłychane obelgi, za co doraźnie został ukarany dalszemi 3 tygodniami więzienia. Ciekawa ta afera rozeszła się w Austrji szerokiem echem i obudziła ogólne zainteresowanie.

Lawina błotna w Austrji. Okolice Kaprunu w Austrji nawiedzone zostały straszliwem oberwaniem chmur. Z Einbachstrom potoczyła się w następstwie potężna lawina z błota i ziemi, niszcząc miejscowość Kaprun. Ulice zapełnione były na 2 metry wosoko szlamem. O ofiarach w ludziach dotychczas nic nie wiadomo; podobno jednak wszyscy zdołali się na czas szczęśliwie uratować. Kaprun był już 70 lat temu nawiedzony podobną lawiną.

Pogromy żydów w Salonikach. Z Salonik donoszą, że doszło tam do niezwykle groźnych pogromów żydów. Cała dzielnica żydowska została przytem spalona, a śmierć poniosło 10 osób, oraz ciężkie rany odniosło 65 osób. Ekscesy rozpoczęły się od tumultów ulicznych, w czasie których pobito ciężko około 25 żydów, policja zdołała zajścia zlikwidować i przywrócić porządek. Następnego dnia rano olbrzymi tłum ludności ruszył ku dzielnicy żydowskiej, którą podpalono w czterech rogach. Rzucono się do bicia bezbronnych i plądrowania domów. Ludność żydowska pozamykała się w domach i poczęła się bronić. Cały szereg domów został szturmem zdobyty, a mieszkańcy domów ciężko pobici. Domy zostały zniszczone i obrabowane. W ten sposób uległo zniszczeniu około 200 domów. Poza tem cały blok domów został spalony. W toku walk zostało zabitych 10 osób, a około 40 odniosło ciężkie rany. Z pośród rannych szereg ofiar dogorywa w szpitalu. Na pomoc ruszyła policja i straż ogniowa, ale wobec groźnej postawy rabujących tłumów, akcja ich została ograniczona. Dopiero po dłuższym przeciągu czasu nastąpił jaki taki spokój.

Stracenie upiora z Düsseldorfu. Pisaliśmy swojego czasu o strasznym potworze z Düsseldorfu w Niemczech, który pomordował liczne kobiety i małe dziewczątka tylko dlatego, aby nasycić swój wzrok męczarniami niewinnych ofiar. Długi czas policja nie mogła dojść, kto jest tym strasznym zbirem, który mordował bezkarnie i drwił z policji. Nareszcie ujęto go. Był to robotnik Kürten z Düsseldorfu. Okrutny morderca stanął przed sądem, a ten wydał nań wyrok śmierci. Kürten prosił o łaskę, ale rząd pruski odmówił ułaskawienia.



W ubiegły czwartek o 6 rano potwornego wampira wyprowadzono na dziedziniec sądu. Kat wraz z swym pomocnikiem przyprowadzili go pod gilotynę. Po skrępowaniu go i ułożeniu narzędzie śmierci odcięło mu głowę Gdy dowiedział się, że wyrok śmierci będzie wykonany, Kürten prosił o księdza. Noc z środy na czwartek przepędził w towarzystwie trzech księży, wyspowiadał się i przyjął komunję św., poczem napisał listy do rodzin pomordowanych, przepraszając je za wyrządzoną ciężką krzywdę.

Ofiara własnej lekkomyślności. Robotnik włoski Baggi Massimiliano, liczący 30 lat, założył się o litr wina, że wprowadzi sobie do ciała igłę do szycia. Ponieważ towarzysze jego uważali zakład za głupi i nie chcieli mu pomagać, Baggi wziął się sam do przeprowadzenia tego doświadczenia. Przekłuł najpierw lewy policzek igłą, a następnie wbił ją w lewe ramię. Potem zaczął wykonywać ramieniem gwałtowne ruchy i zdołał w ten sposób wprowadzić igłę do ciała. Nagle zasłabł, osunął się na ziemię i krzyknął: „Igła dostała się do serca, zawołajcie lekarza!" Przeniesiono go natychmiast do szpitala, gdzie lekarz stwierdził, że igła dostała się istotnie do serca. Ale było już zapóźno i Baggi zmarł w szpitalu.

Zderzenie samolotu z samochodem. W pobliżu Chataumoux we Francji, podczas lotu ćwiczebnego samolot wojskowy, sterowany przez pewnego sierżanta, obniżył się ponad szosą do tego stopnia, że podwoziem potrącił o przejeżdżający samochód, w którym znajdowało się 7 osób. Dwom osobom podwozie samolotu strzaskało głowy na miazgę tak, że poniosły śmierć na miejscu a trzecia ze złamaną podstawą czaszki została przewieziona do szpitala w stanie beznadziejnym. Dalsze cztery osoby odniosły lżejsze rany. Lotnik, który wylądował szczęśliwie, został aresztowany.

Powstanie w Peru. W Peru, w Południowej Ameryce, wybuchło powstanie, przybierając poważne rozmiary. Dwa pułki piechoty dywizji, stacjonowanej w Cusco i Pumo, zbuntowały się przeciwko prowizorycznemu rządowi w Limie, usunęły prefekta i na jego miejsce mianowały prefektem swego komendanta. Powstańcy wypędzili wierne rządowi wojska w kierunku Juliaca. Wojska te, po zniszczeniu linij kolejowych, cofają się w dalszym ciągu do Arequipy. Garnizon w Arequipa również zbuntował się przeciwko rządowi. Chociaż w Limie panuje jeszcze spokój, to sytuacja jest jednak bardzo poważna i liczą się z ustąpieniem rządu. Powodem tego ruchu powstańczego jest zwłoka w przeprowadzeniu wyborów oraz powrót pułkownika Sanchez Cerro. Panuje przekonanie, że były prezydent Leguia i jego zwolennicy dostarczają powstańcom środków finansowych.

Uprowadzenie miljonerki. Pani Edyta Walsh jest żoną Artura Walsha, bankiera nowojorskiego, jednego z największych magnatów finansowych Ameryki. Znaną jest ogólnie rzeczą, że była ona przedtem aktorką, a Walsh poślubił ją z miłości i kocha ciągle w sposób prawdziwie bałwochwalczy. Pewnego wieczora wsiadła pani Edyta do auta i pojechała do przyjaciółki, mieszkającej w innej dzielnicy miasta. W pewnej chwili, gdy auto skręciło właśnie w boczną uliczkę i zwolniło pędu, wskoczyło do auta dwóch mężczyzn, z których jeden zaszachował szofera, a drugi zajął się miljonerką. Bandyci stali się niebawem panami sytuacji i doprowadzili auto do swej kryjówki. Nazajutrz rano zaniepokojony i zrozpaczony miljoner, niewiedzący, czemu przypisać nieobecność żony przez całą noc, otrzymał list od owych bandytów, uwiadamiający go o porwaniu żony, żądający wysokiego okupu i grożący w razie uwiadomienia o tym wypadku policji śmiercią pani Edyty. Miljoner pozornie zgodził się na te warunki, lecz natychmiast porozumiał się z policją nowojorską, która wszczęła bardzo energiczne kroki, uwieńczone pozytywnym rezultatem. Jeszcze bowiem tego samego dnia odnaleziono owych bandytów, a pani Edyta powróciła w ramiona stęsknionego małżonka.

RZECZY CIEKAWE.

Przynęta na szczury.

Kwiat pociąga i upaja nietylko ludzi, ale nawet obdarzone najmniej rozwiniętym zmysłem powonienia zwierzątka.

Odrażające i szkodliwe gryzonie, tępione przez ludzi bez litości, wabi się zazwyczaj do pułapek przy pomocy przynęt w postaci jedzenia (tłuszczów, słoniny i t. p.). Ale przypadek odkrył, iż szczury są nadzwyczaj uwrażliwione również na inne rzeczy. Jeden z obywateli angielskiego miasteczka Dumster przechowywał w piwnicy kwiaty i nasiona.

Zauważył on, iż pułapki, znajdujące się w tej piwnicy, cieszą się niezrównanie większą „frekwencją" szczurów, niż inne zaopatrzone w przynętę w postaci żywności.

Postanowił więc sprawdzić fakt zaobserwowany i w tym celu w innej piwnicy umieścił pułapkę, w której jako przynętę umieścił kwiaty. Efekt był nadzwyczajny. Aż trzech amatorów kwiatów zawitało do pułapki.

Szereg dalszych doświadczeń stwierdził niezbicie, iż szczury reagują łatwiej na zapach kwiatów, niż na apetyczne wyziewy słoninki. Dzięki przypadkowi tedy uzyskano nowy dostępny i niezawodny środek zwabiający szczurów do pułapki.

Nędza emigrantów rosyjskich.

Nędza emigrantów rosyjskich, którzy z powodu najpotężniejszego przewrotu w historji światowej utracili środki egzystencji i na obczyźnie prowadzą rozpaczliwą walkę o byt, wielokrotnie była przedstawiana w powieściach i na srebrnym ekranie. Mimo to niewiele wie się o tem, jak owi parjasi, którzy niegdyś znajdowali się na szczytach życia, pogodzili się z nowemi warunkami.

Zarówno w Paryżu, jak w Londynie, w Nowym Jorku, jak w Tokio osiadły rodziny, pochodzące z najstarszej klasy rosyjskiej. Gdy mężczyźni dostali zajęcie jako kelnerzy, portjerzy, szoferzy i t. d., kobiety przeważnie urządziły sobie salony mód. Tylko niewielkiej ilości szczęśliwców udało się znaleźć zajęcie, odpowiadające dawnemu stanowisku.

Statystyka, przeprowadzona niedawno przez rosyjską organizację emigrancką, stwierdziła, że tylko 5 proc. osiadłych w Europie emigrantów prowadzi życie jako tako uregulowane. 40 proc. emigrantów jest skazanych na pomoc swych lepiej uposażonych rodaków.

Wśród salonów mody rosyjskich arystokratek uchodzi przedsiębiorstwo księżny Jussupow (żony sławnego mordercy Rasputina) za jedyne wzniesione na solidnych podstawach finansowych. Przeważnie księżęce krawczynie zarabiają zaledwie tyle, aby móc się wyżywić i jako tako ubrać.

Szczególnie silna jest nędza emigrantów w Paryżu. Praca trwa tam do późnej godziny nocnej, a wynagradzana jest bardzo nisko. Zapłata 3 franki za godzinę uchodzi za dość wysoką.

Te kobiety, które niegdyś własnemi autami jeździły na Rivierę, są źle odżywione, przeważnie chore. Damy, których luksusowe toalety nadawały ton w najlepszem towarzystwie petersburskiem, szyją obecnie suknie dla innych. Niektóre pracują jeszcze w lokalach nocnych, aby zdobyć środki na utrzymanie siebie i swych dzieci. Kobiety, które miały do swojej dyspozycji armję służby, zamiatają bary nocne.

Zakochany goryl.

Oddawna już badana jest kwestja zdolności do uczuć miłosnych u zwierząt.

Przy tej okazji przytaczają rozmaite prawdziwe fakty z życia zwierząt.

W pewnej wiosce stryjskiej znany był powszechnie kogut, którego nazywali „szalonym kogutem".

Kochał się on najwyraźniej w swej gospodyni. Chodził za nią, jak pies; przyjmował pożywienie tylko z jej rąk, robił na rozkaz wszelkie sztuki, a na dźwięk jej głosu przybiegał nawet z lasu. Niezwykły ten ptak został zabity z powodu złamania nogi i skrzydła.

Ostatnio, w paryskim „Jardin des Plantes", gdzie znajduje się liczna kolekcja małp, zdarzyła się następująca historja:

Goryl zakochał się w córce dozorcy.

Gdy usiłował on umknąć, wykorzystano podstępnie jego miłość, by zwabić go do klatki. W drzwiczkach, umieszczonych w tyle klatki, stanęła dziewczyna; podszedł do niej dozorca, objął ją i zaczął całować. Goryl przyglądał się temu zrazu spokojnie, potem nagle rzucił się, jak wściekły, w stronę owej pary. Nie zważając na to, co czyni, opanowany straszliwą zazdrością, wpadł do klatki, której drzwi natychmiast się za nim ze wszystkich stron zatrzasnęły.

Post jako czynnik zdrowia...

Znałem pewnego mężczyznę, który od dłuższego czasu cierpiał na nerwobóle żołądka (gastralgja!). Nieraz w przystępie rozpaczy postanawiał zginąć śmiercią głodową. Gdy dwa lub trzy dni nic nie jadł, uczuł takie polepszenie swego stanu, że odważył się przyjąć mały posiłek. Ku wielkiej swej radości przekonał się, że choroba ustąpiła. Djeta ściśle jarska dopomogła mu do zupełnego odzyskania zdrowia.

Już słynny Dr Tanner uważał powstrzymywanie się przez pewien niedługi okres czasu od wszelkiego pokarmu za najsilniejszy sposób oczyszczenia ustroju ze wszelkich szkodliwych materyj, jakie się w nim nagromadzają — a wszystko to dla przywrócenia narządom trawienia siły i sprawności, tak potrzebnej im do należytej ich czynności. Taka wstrzemięźliwość czasowa wprost odmładza ciało! Dr Tanner zaleca kilkudniową nawet kurację głodową, bo uważa to za niechybny środek zapobieżenia wybuchowi bliskiej choroby oraz szybkiego zwalczania jej, wrazie, gdy ta się już rozwinęła. Opierając się na powyższych i tym podobnych twierdzeniach, pewna szkoła amerykańska założyła sanatorjum, w którem przy pomocy mniej lub więcej ściślej kuracji głodowej, trwającej niekiedy po kilka lub kilkanaście dni, osiąga się wprost zadziwiające wyniki. I u nas w Polsce mamy podobny zakład. Oto w lecznicy Dr. Tarnawskiego w Kosowie (20 km. za Kołomyją!) stosuje się od kilkunastu lat tak zwane „głodówki" pod ścisłym dozorem lekarskim, ze znakomitym wynikiem. Słynny ten zakład przyrodolecznictwa był przez wojnę zniszczony, atoli wkrótce zdołano go odnowić tak, iż obecnie wiele setek pacjentów przyjmuje.

Widzimy więc, jak wielce pożyteczne są posty kościelne w naszych czasach i tak już zbytnio złagodzone dyspenzami, które krótkowidząca medycyna stopniowo Kościołowi narzuciła. Pora wielkiego

postu kościelnego jest bardzo mądrze obrana, gdyż na wiosnę odradzanie się przyrody przyspiesza fermentację spożytych w nadmiarze substancyj, które w ciele tworzą złogi, będące przyczyną przeróżnych chorób jak: katarów żołądka, zapalenia ślepej kiszki, zaparcia i t. p. U osób, u których przyrodzona uczuciowość nie została jeszcze zbyt zagłuszoną, ujawnia się potrzeba postu również przy zmianie księżyca, a mianowicie kilka dni przed pełnią! Poszcząc lub susząc w tych dniach, osoby takie przeprowadzają pewien rodzaj wewnętrznego oczyszczenia organizmu i chronią się w ten sposób od chorób, które zwykle trapią pospolitych obżartuchów i samolubnych pasibrzuchów. Każdy prawie skarży się na przepracowanie mózgu i mięśni wskutek zbyt wytężonej pracy w zaciekłej i szalonej walce o byt. Wobec tego żąda się przywrócenia dawnych świąt, obecnie zniesionych — ale nikt nie dopomina się o przywrócenie dawnych postów. Czemuż to ci wszyscy nie pomyślą o przepracowaniu narządów trawienia, t. j. żołądka i kiszek? Wszak dla tych narządów dni świąteczne są dodatkowemi dniami podwójnej pracy. Nigdy chwili odpoczynku dla tych niewolników — a przecież od ich odporności zależy zdrowie całego organizmu człowieka. Dajmy im wytchnąć od czasu do czasu. Trzeba koniecznie zapanować nad własną zmysłowością!

Odpowiedzi Redakcji:

Pp.: **Władysław Mikosz** w M. M.: Najlepiej zaprenumerować sobie „Rolę", gdyż my o przesyłce poszczególnych numerów z Pańskimi utworami pamiętać nie możemy, zwłaszcza, iż nie możemy oznaczyć, kiedy te utwory będą drukowane. — **A. Sordyl** w Z.: Zagadki dobre; kiedy jednak będą zamieszczone, trudno nam oznaczyć. — **Stanisław Jucha** w K.: „Marcina Wadowitę" przeznaczamy do druku. — **Józef Sroga** w K.: Wiersz „Wśród kwitnących lip" jest dobrze po literacku napisany, ale forma zbyt ciężka. W wierszu „Do góry" zamało poezji. — **Franciszek J. Tryszczyła** w K.: Cztery krótsze artykuliki doskonałe do Rzeczy ciekawych. „O kulturę państwową" nieco zadługi dla „Roli", ale może się da coś zrobić, aby go zamieścić. — **Franciszek Surówka** w W.: Lipy już okwitły, więc wiersz, jakkolwiek dobry, już nieaktualny. Może na przyszły rok się przyda. — **Jakób Nowak** w U.: Nie przeczymy, że w Polsce teraz bieda wielka, ale na pocieszenie musimy stwierdzić, że to nietylko u nas, ale w całym świecie. Nawet w bogatej Ameryce tysiące ludzi przymiera głodem. Z krajów europejskich niektóre stoją przed bankructwem. Rządy wszystkich państw robią, co mogą, aby kryzys ten opanować i jest nadzieja, że się im to uda. — **Kazimiera Lisowska** w S.: Że Pani kocha pszczółki i hoduje je, bardzo się cieszę. Są to rzeczywiście istotki, które choć kłują, to i wiele słodyczy przynoszą. Żeby to ludzie tak! Ludzie, którzy są najpochopniejsi do kłucia bliźniego, nigdy nie starają się życia innym osłodzić. — **Karol Moskwa** w N.: Za tak miłe dla nas słowa uznania serdecznie dziękujemy. „Rola" nie ma znikąd pomocy, ale też dlatego i od nikogo nie zależy. W sprawach publicznych jest bezstronna, a tylko dobro społeczeństwa ma na oku. Cześć! — **A. Kulig**: Rękopis nieczytelny. — **Jan Lasota** w P.: W nadesłanych nam wierszykach jest siła i myśl piękna, ale forma jeszcze nieopanowana. Radzimy próbować dalej, a i forma się wyrobi. Uważać nietylko na rym, ale i na rytm. — **Leopold Wołek** w B.: Do wyrównania będzie tylko IV kwartał. Brakujący numer przesłaliśmy pod nowym adresem. — **Dojda Jan** w W.: Do urzędu pocztowego w S. odnieśliśmy się wprost pisemnie z ostatnią przestrogą. Nie wiemy, kim urzędniczka przy sortowaniu przesyłek się posługuje, a jeżeli w gminie stwierdzili, że wiele przesyłek znalazło się w Pańskiej gminie, które powinny być wydane innym gminom, to prawdopodobnie i „Pańska Rola" nieraz powędrowała do innej gminy. Za życzenia serdecznie dziękujemy; przepadły numer posłaliśmy powtórnie. — **Władysław Halig** w F.: Po nadesłaniu 10 zł. prenumerata zapłacona do końca marca 1932 r. Za uznanie dla „Roli" serdecznie dziękujemy.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Budynek wojskowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Sieć inaczej.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Zalecenie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kat.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Karzeł.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Szkło powiększające.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Atrament.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierzę dom. zdrob.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Osoba z „Grażyny".
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.

Litery początkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko patrjoty, filozofa i pedagoga polskiego.

2. Szarada.

(Ułożył Józef Cieplik z K.).

Paraduje Maciuś, jak jaki pan w mieście,
Nową kurtkę, za sto złotych sprawił sobie wreszcie,
Choć go trzecie pół drugie kosztuje, nie żałuje przecie,
Dał podszyć pierwszej trzeciej, ciepło mu, jak w lecie,
Trzecie znów roślina, odzienie z niej bywa wyrabiane.
Całe imię męskie dobrze znane, ale mało używane.

3. Zagadki.

(Ułożył Leopold Wołek z Rz.).

I.

Otoczcie grecką literę setkami,
A polski urzędnik stanie przed wami.

II.

O wolność się targowali,
Aż ją wrogom zaprzedali,
Smutno to i źle,
Powiedz co i gdzie.

3. Zagadki humorystyczne.

(Ułożył A. Czader z S. W.).

1. Jaki pan stoi ciągle na jednej nodze?
2. Jaki tur ma dwie nogi?
3. W jakiej linie można się zakochać?
4. Na jakie raki polują myśliwi?
5. Jakie maki mają po cztery negi?

4. Kwadraty magiczne.

(Ułożył Leopold Wołek z Rz.).

I.

				Następstwo winy.
				Mieszkaniec wschodu.
				Ognie sztuczne.
				Imię biblijne.

II.

				Pisarz francuski.
				Męty.
				Stół sklepowy.
				Imię męskie.

W kratki wstawić litery tak, by czytane w kierunku poziomym i pionowym dały znaczenie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 17 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 26 „Roli": 1. Logogryf: Artur Gruszecki. 2. Zagadki: I. Bób. II. Kraina-Ukraina. III. Stodoły. 3. Zagadki humorystyczne: I. Plakat. II. Człowiek. III. Tydzień. IV. Sokół. V. Dziurawiec. VI. W jesieni. VII. Wielkanoc. 4. Kwadraty magiczne: I. Mora-osad-rana-Adam. II. Kora-ozon-rowy-anyż.

Dobrego rozwiązania w oznaczonym czasie wszystkich zagadek nikt nie nadesłał. Częściowe rozwiązanie nadesłali pp.: Krystyna Górecka z K., Józef Górecki z K., Piotr Wenc z S., Józef Cieplik z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 7 lipca b. r.

Pszenica	29·00—29 50	Słoma długa	5·00—6·00
Żyto .	28·50—29·00	Ziemniaki stoł.	0·00—00·00
Owies . .	31·00—32·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	28·50—29·50		
Fasola biała	40·00—44·00	Mąka żytnia	45·75—46·25
Groch zwyk.	00·00—00·00	Mąka pszen.	53·00—54·00
Siano słodk.	9·00—10·00	Otręby pszen.	15·00—15·50
Łubin żółty	34·00—36·00	Otręby żytnie	15·00—16·00
Koniczpastew.	11·00—12·00	Mąka czerw.	19·00—19·50

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 7 lipca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 1·05 do 1·17 zł.	Jałownik	od 1·05 do 1·14 zł.
Woły . .	od 1·10 do 1·20 zł.	Cielęta .	od 1·15 do 1·25 zł.
Krowy .	od 0·85 do 0·98 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·50 do 1·70 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·10 do 2.20

„Zemsta cygana"

sztuka w 3-ch aktach ze śpiewami i muzyką, znanego naszym Czytelnikom poety ludowego Roberta Rydza — opuściła prasę i jest do nabycia w księgarni nakładowej A. Cybulskiego w Poznaniu. Sztukę tę polecamy naszym zespołom amatorskim. Cena 6 zł. wraz z utworem muzyczn.

Kupujcie wprost u wytwórcy!

Powroźnicze

wyroby pierwszorzędnego wykonania jak:

Liny konopne transmisyjne dla fabryk i kopalń, budowlane, do żeglugi i rolnictwa, wyroby do rybołóstwa, linki strażackie, turystyczne, drabiny linowe, sznury białe i szare, postronki na uprząż, lejce, uździenice, pasy, taśmy, szpagaty, hamaki, huśtawki, siatki, konopie czesane pakuły do uszczelnień i t. p. dostarcza:

Fabryka Powroźnicza

Stanisława Wałkowińskiego

w Krakowie-Zwierzyniec ul. Lelewela 11.

Wysyła monterów do lin transmisyjnych.
Sprzedaż częściowa i hurtowna.
Cenniki na żądanie.
Uwaga na dokładny adres.



WIELKĄ OSZCZĘDNOŚCIĄ

dla każdego gospodarstwa jest wypróbowana Praktyczna Książka Kucharska pod tytułem

366 obiadów

ułożona przez Marję Gruszecką, która zawiera praktyczne i oszczędne przepisy do sporządzania tanim sposobem smacznych potraw, ciast, legumin, tortów, soków, likierów, konfitur i t. p. Ponadto Praktyczna Książka Kucharska zawiera cały szereg praktycznych i oszczędnych wskazówek dla każdego gospodarstwa: Jak się obejść z bielizną przy praniu. Sposób tępienia mrówek i robactw drzewnych. Tępienie moli, myszy i innych robactw dokuczliwych. Również zawiera tasama książka cały szereg praktycznych środków leczniczych i innych niezbędnych dla każdej gospodyni wskazówek gospodarskich. — Cena tej książki w wielobarwnej okładce z przesyłką Zł. 3.50. Na przesyłkę poleconą dołączyć 50 groszy. **Do nabycia w Adm. „Roli".**

Karpackie Kosy

Dobre, wykończone z styryjskiej stali, w oliwie hartowane. Nadają się do najtwardszych traw i zboża. Forma najdoskonalsza, szerokość 5—6 cm. Ażeby nie ryzykować, daje porękę za każdą kosę, i to pisemną gwarancję, która to kosa może być 2—3 razy klepana, a kiedy nie chciałaby kosić, zamieniam takową na inną bez żadnej dopłaty.

Kto chce mieć dobrą, gwarantowaną kosę, musi sobie zaraz zamówić taką kosę, oprócz tego te kosy nie są w cenach wygórowane, lecz niskie. Cena fabryczna:

Długość w cm.	65	70	75	80	85	90	97	100 cm.
Cena w złotych	6.—	6.50	7.—	7.40	7.80	8.—	8.50	9.— zł.

Rabat: na 10 = 1, na 20 = 2, na 30 = 4, na 40 = 6, na 50 — 8 kos rabatu.

Taksamo posiadam sierpy, młotki, kowadełka i inne przybory rolnicze. Dla spółdzielni i sklepów daje na dogodnych warunkach. Proszę żądać cenników. Za gotówkę zgóry porto i opakowanie nie doliczam.

Adres: **M. Sidyk, Strutyn Wyżny, p. Rożniatów, woj. Stanisławów.**

Bandażysta!

Specjalny. Fachowiec od lat 40

A. M. MIRKIEWICZ

Kraków, Mostowa L. 4.

Poleca bandaże przepuklinowe własnych ulepszeń bardzo praktyczne i wygodne w noszeniu. Również pasy bez sprężyn nowych systemów. Pasy brzuszne oraz pooperacyjne itp. Dla dzieci nowość niebywała bardzo skuteczna. Wykonuję pod gwarancją.

Praktyczne wyjaśnienia listowne. (Na odpowiedź znaczek). Ostrzega się przed blagierami niefachowymi, którzy narażają na różne przykrości itp.

Nie marnować owocu!

Wspaniałe

Wina domowe

sporządzamy z każdego owocu i jagody (nawet zboża) n. p.

Tokaj, Malagę, reńskie, stołowe i t. p.

Dokładny podręcznik przesyłam za 80 gr. w znaczkach pocztowych.

Cenniczek i krótki opis wyrobu win zadarmo.

M. Pradel, Kraków, ul. św. Tomasza 22.

(Tamże rurki ferm., prasy, gąsiory i t. d.).

Pracownia stolarska poszukuje chłopca

do praktyki od 17-tu lat.

Bystroń Bolesław poczta Mogilany obok Krakowa.

Piosenkarz Polski Zbiór najpiękniejszych piosenek: Piosenki ludowe, taneczne, miłosne, żartobliwe Krakowiaki, Mazury, Oberki, Kujawiaki, dumki, serenady, Piosenki młodzieży, piosenki narzeczonych, piosenki swatów, piosenki drużbów, piosenki taneczne na weselu, śpiewki przy oczepinach, piosenki dożynkowe i wiele wiele innych. Stron 120. Do nabycia w Administracji »Roli«. Cena 1·20 zł.